

# W Sorbonie i gdzie indziej



TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

## W Sorbonie i gdzie indziej

(WRAŻENIA PARYSKIE)

### BOY W PARYŻU

Była wiosna — paryska wiosna, wczesna i nerwowa, o cudownych dniach słonecznych i mglistych wieczorach. Mgły naprowadzają w śródmieście zaduch przedmiejskich zapachów, ale słońce rozwija pąki bzów... Ta wiosna, o której ongi Jehan Rictus, z twarzą bez uśmiechu, mówił: „*Ça sent la m...e et les lilas...*”

Błąkaliśmy się z Boyem po wybrzeżach, wśród sędziwych murów Cité, drapaliśmy się po kamiennych schodach od Sekwany, by stanąć w milczeniu wobec nieporównanej fantasmagorii żółtozłoty światła, zapalających się w fioletowej mgłę, za którą majaczyły wieże Notre Dame.

Boy był po raz pierwszy w Paryżu, ja byłem „starym paryżaninem” tj. jegomościem, który po ukończeniu studiów nauk politycznych zdążył jako tako obejść dokoła labiryntu paryskich uciech i prac. O czym się tylko nie gadało w tych włóczęgach północnych! Pamiętam, zajmowała mnie wówczas psychologia Francuzów, z którą nie umiałem sobie dać rady. Zwłaszcza sprawa uczucia w stosunku do zmysłów i rozumu. Budowałem sobie teorię o układaniu się w duszy francuskiej tych pierwiastków podług schematu magnesu, grupującego na dwóch biegunach sensualizm i racjonalizm, gdy środkiem na owo „uczucie” brak już materiału. Mówiliśmy o Balzaku, jako o jedynym autorze, który służyć może dotychczas za przewodnika w labiryncie paryskim. Pamiętam oczarowanie Boya, gdyśmy weszli do kabaretu Noctambule przy ul. Champolion, gdzie Gabriel Montoya, Marceli Legay, Hyspa co wieczór pieśnią dawali wtórny wypadkom dnia. Była to oaza owej uczuciowości w racjonalno-sensualnym Paryżu, gdzie się upijano pieśnią jak alkoholem. Tu Boy zetknął się z piosenką francuską po raz pierwszy.

Delmet śpiewał *Étoile d'amour*, Montoya na przedartym tenorze, ale z cudownym temperamentem, rzępolił *Chanson d'antan*, Marceli Legay z głębi potężnej piersi wydobywał echa wiejskiej tężyzny i rzucał je na bruk paryski: *Ohé, les boeufs!*

Piosenka i wiosna paryska mają ten sam rytm, te same zapachy i miazmaty, tak samo nerwują, ale w piersi z coraz innej struny zrywają ton zawsze najczystszy.

Pamiętam, jak raz wyszedłszy z Noctambulów, zawróciliśmy w stronę Panteonu, idąc pod murami Sorbony.

— Byłeś już w Sorbonie? — zapytałem.

Boy się zafrasował nie na żarty:

— Wiesz, że nie, jakoś nie wiem, którędy się tu wchodzi...

\*

Była wiosna. Paryż szumiał i dzwonił w mroku wieczornym. Rozkwitały słoneczniki światła, otulała się stara Sorbona w fioletowe mgły.

Z dziennikarskiej łoży obejmowałem okiem wielki amfiteatr Sorbony i estradę. Amfiteatr, głowa przy głowie, od dołu do najwyższej galerii, zapelniało morze publiczności. Na estradzie wśród aeropagu czcigodnych siwizn Boy, zawsze czarnowłosa, trochę pochylony, odczytywał, kartka po kartce, arcydzieło spowiedzi literackiej — historię własnej

<sup>1</sup>*Ça sent la m...e et les lilas...* (fr.) — pachnie g...m i bzem. [przypis edytorski]

fenomenalnej pracy od lat dwudziestu. Słuchałem tych dobrze mi znanych dziejów pod urokiem niewymownej prostoty, pod czarem tej niby rubasznej finezji, zapominając o sali i estradzie. Ze słowami Boya błąkałem się to nad Sekwaną, to na Plantach pod Wawelem, patrząc w znajome a pogasłe twarze, w migotliwe światła Montmartre'u, Zielonego Balonika, słysząc echa przebrzmiałych sporów, w akompaniamencie refrenów piosenki.

Boy głosił kartka po kartce najwyrafinowaną mistyfikację, jaką kiedykolwiek napisał. Bawiło mnie to niewymownie, że dzięki nieporównanym manewrom Boya, nikt na sali nie myślał o nim inaczej, jak o fenomenalnym tłumaczu, choć jednocześnie cała sala była pod urokiem poety. I to tak dalece, że i w Sorbonie, i potem w licznych dyskursach, którymi Boya fetowano, nikt nawet się nie zająknął o tym, czym były owe „przekłady” Boya — że były strofkami przedziwnego skryto-płciowego kwitnienia tej zupełnie rzadkiej organizacji poetyckiej, która za temat obrała sobie geniusz rasowy Francji, a za formę rodzaj misterium o niepoliczonych odłonek (przekładów), gdzie geniusz się wypowiada.

Boy, z cicha pęk, prawil o „perwersji” w stosunku do różnych stylów, o „lubieżności” pracy tłumacza, to wreszcie o „całkiem prostym” fakcie, że kochał to, co robił, więc robił śpiewający.

Ale czuł amfiteatr ten niezawodny prąd uroku, który tylko od poety bije w tłum: uśmiechnęły się do Boya najpierw oczy młodzieży, potem zadźwięczały srebrne szmery śmiechu, potem poszły w płas dlonie klaszczące — wreszcie zakołysała się sala salwami oklasków...

Na fotelach estrady traciły sztywność oficjalną sylwety ministrów i akademików. Wreszcie gdy cała młodzież już się w Boyu kochała, pewien kościany dziadek odkaslnął, poprawił się w fotelu i filuternie uśmiechnął.

Mało takich tryumfów oglądać można, jak to porwanie młodej sali i starej estrady przez dzieje 100 „przekładów”, opowiedziane przez ich poetę. Miałem wrażenie, że jestem świadkiem jakiejś fantastycznej opowieści Hofmana, której bohaterem jest bakałarż miejski, objawiający się nagle jako cudowny skrzypek. Gdy skrzypek skończył grać, areopag, który przed chwilą tańczył, wrócił do poprzednio ustalonej równowagi, widząc w nim wielce zasłużonego bakałarza, a zapominając o skrzypku.

Boy-mystyfikator, szczęśliwy, że skończył przemówienie, uśmiechał się frasobliwie, zgadzając się zupełnie na to, że juści przekład jest przekładem. Nie ma to jak rzeczy nazywać po imieniu.

\*

Wiosna, Boyu miły, jak bywała wiosna przed laty, pójdziemy przejść się wśród starych murów, za którymi już pęcnieją bzy. Jeden długi dzień od wschodu do zachodu wypełniony zachwyceniem drogi do przebycia. Jeden dzień, choć o wielu momentach, i jedna droga, choć o tylu załamach. W długim marszu dobrze zachować rytm: lżej się wędruje. Zaczęłeś ongi, Boyu, nucąc od niechcenia *Valse folle* czy *Escalier*, *Fanfreluche* czy *Étoile d'amour*. Zmieniając strofy jedna na drugą, Villona na Musseta, Moliera na Descartes'a, wyśpiewałeś, Boyu, całą pieśń. Jedną z jej strof, tę właśnie spowiedź literacką czy mistyfikację „przekładów”, członek Akademii p. René Doumic, znakomity krytyk, zaszczycił nazwą „najbardziej paryskiego odczytu, jaki kiedykolwiek słyszał”. To już nieźle. Minister Louis Marin, przypięwszy ci krzyż Legii z powodu tychże przekładów, zwrócił się do Francuzów, by starali się zrobić zbiorowo, coś ty zrobił w pojedynkę. To jeszcze lepiej. Wiceprezes francuskiego towarzystwa literackiego, profesor Fortunat Strowski, przypomniał, z twojego powodu, pracę polskich pionierów-emigrantów, którzy przez kilka pokoleń pomnażali dobytek kultury francuskiej... Rozległe echa budzi poezja dokonanego czynu! Te echa — to tyle, ile za każdym razem społeczeństwo może wziąć z poezji.

Bo nie może przecież zistoczyć się z samym poetą, który zawsze „sobie śpiewa, nie komu”, choćby przełożył sto tomów na użytek całego narodu!

Chodźmy, Boyu, posłuchać, jak na przedziwnym instrumencie Paryża gra swoje strofy większa niż Safo poetka — wiosna.

Paryż, 20 lutego 1927

## RÓŻYCZKA

Sięgając myślą do świeżych wrażeń paryskich, chcę przede wszystkim mówić o kobiecie, której fizjognomię powinniśmy dobrze zapamiętać. Ja ją nazywam zuchwale Różyczką albo Rozalką, ale nazywa się pani Roza Bailly<sup>2</sup>. Nazwisko to, dobrze znane we Francji, jest tam dziś jakby symbolem sympatii francusko-polskich, jest zarazem cementem organizacji, która z każdym dniem rośnie, umacnia się i która posiada dla nas pierwszorzędne znaczenie. Organizacja ta, to *Les amis de la Pologne*<sup>3</sup>, stowarzyszenie oparte wyłącznie na Francuzach, mające za zadanie krzewić znajomość Polski, sympatie dla Polski i w danym momencie czynnie wspierać jej interesy. Znaczenie jego okazało się dowodnie przed plebiscytem górnośląskim, kiedy pani Bailly zdołała zebrać setki tysięcy podpisów opowiadających się za przynależnością Śląska do Polski. A było to ledwie w początkach jej działalności. Dziś posiada to stowarzyszenie potężną grupę poselską w parlamencie, prezesem jego jest jeden z najwpływowszych polityków, minister Louis Marin, posiada wreszcie sześćdziesiąt kilka filii prowincjonalnych, a liczba tych filii rośnie, można powiedzieć, z każdym dniem. I wszystko to zdziałała „Różyczka”, rzadkie połączenie entuzjazmu i wytrwałości, polotu i daru organizacji.

Kiedy poznałem bliżej tę bardzo miłą kobietkę, w której oczach migocą ogniki filiternej i śmiałej inteligencji, byłem oczywiście ciekawy dowiedzieć się, jakimi drogami ta rodowita Francuzka, nie związana żadnymi węzłami z Polską, doszła do tego, aby się oddać misji, która pochłania wszystkie jej siły, która nadała bieg jej życiu i kazała jej żyć tylko Polską i dla Polski. Z prostotą opowiada mi pani Bailly swoje dzieje. Była młodą nauczycielką (pani Bailly jest wychowanicą *école normale supérieure* w Sévres, gdzie buntowała się przeciw mądrościom Lanson'a) w gimnazjum w Cahors; był to rok oblężenia Verdun, rok 1916, najposępniejszy okres wojny. Nerwy całej Francji były napięte jak struny. Jednego dnia, Różyczka (jeszcze nie była wówczas panią Bailly) przeczytała w *Victoire* artykuł znanego przyjaciela Polaków, Jerzego Bienaimé pt. *La Délaissée*, obwiniający Francję o niewdzięczność względem Polski. Artykuł ten poruszył głęboko egzaltowaną dziewczynę, w owym momencie sprzyjającym egzaltacji dusz: spłynęło na nią jakby powołanie, wzięła na siebie obowiązek... Do Polski czuła nieokreśloną sympatię od dzieciństwa (zabawne, iż jednym ze źródeł tej sympatii była książka dla dzieci pt. *Les deux nigauds*<sup>4</sup> pani de Ségur<sup>5</sup>, z domu Rosjanki), ale nie wiedziała o Polsce prawie nic; było tedy coś mistycznego w tej wokacji. Wyczytała w *Victoire*, że się utworzył komitet Michelet-Mickiewiczowski, którego duszą byli dr Bronisławski i Ernest Denis (później znany ze swego czechofilstwa). Różyczka pisze do komitetu, ofiarując swą pomoc i usługi, chwyta wszystkie książki, z których może się dowiedzieć o Polsce, agituje w szkole, jej uczennice, kosztem kina albo deseru, składają pieniądze *pour les petits Polonais*<sup>6</sup>. Komitet skorzystał z ofiary młodej nauczycielki. Różyczka redaguje z Cahors pismo *La Pologne*, równocześnie stara się dostać do Paryża. W stolicy styka się z Polakami, pracuje w komitecie polskim, ale pod wpływem tego zetknięcia dojrzewa w niej myśl, aby założyć Towarzystwo przyjaciół Polski jedynie między Francuzami i o Francuzów oparte. Podejmuje to śmiałe zadanie, naiwnie, nie widząc trudności, i dzięki temu trudności te

Spolecznik

<sup>2</sup>Rosa Bailly (1890–1976) — fr. poetka, propagująca kulturę polską we Francji. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*Les amis de la Pologne* (fr.) — przyjaciele Polski. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*Les deux nigauds* (fr.: dwie niezgrabny) — książeczka dla dzieci, autorstwa księżnej Sophie de Ségur, opublikowana w 1863 r. Opowiada o przygodach rodzeństwa z prowincji w Paryżu, gdzie Innocenty i Simplicja zaprzyjaźniają się z dwoma polskimi żołnierzami-emigrantami. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Sophie de Ségur, z domu Sofija Fiodorowna Rostopczina (1799–1874) — córka rosyjskiego arystokraty, który wyemigrował do Paryża z powodu niełaski, w jaką popadł, ratując Moskwę przed Napoleonem w 1812 r. Została pisarką już jako babcia, spisując bajki, które opowiadała swoim wnukom. Książki księżnej de Ségur ukazywały mniej wyidealizowany obraz świata, niż większość ówczesnych publikacji dla dzieci, co zyskało jej przydomek Balzaka literatury dziecięcej. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*pour les petits Polonais* (fr.) — dla polskich dzieci. [przypis edytorski]

pokonuje. Drepce po Paryżu jak Czerwona Czapeczka<sup>7</sup>, trafia do największych dygnitarzy, rozbraja wszystkich i ujmuje prostotą i ufnością. Towarzystwo powstaje. Marszałkowie Francji Foch i Joffre, kardynał Dubois, Weygand, Poincaré, takie nazwiska widnieją w honorowym prezydium.

Z tą chwilą zaczyna się wytężona i świadoma praca Różyczki. Trzeba spędzić kilka chwil w lokalu towarzystwa przy ulicy de l'Abbé de l'Épée, aby zdać sobie sprawę z jej rozmiarów. Tam wydaje się pisemko *Les amis de La Pologne*, tam wychodzą w lotnych broszurkach, w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, przekłady z naszych pisarzy (poznałem francuskich rodziców, którzy opowiadali mi, jak dzieci ich namiętnie czytają bajki Konopnickiej), tam organizuje się obchody, odczyty, tam załatwia się korespondencję z prowincją. I wszystkiemu temu musi wystarczyć Różyczka sama, jako generalna sekretarka towarzystwa; wytężona praca musi nadrobić to, czego nie dostaje w środkach materialnych.

Patrzę z ciekawością na tę kobietę. — A życie erotyczne, Różyczko? pytam przeniknięty panseksualizmem Freuda i myśląc, że może tu znaleźć tajemnicę siły tego motoru.

Różyczka śmieje się. — Nim pokochałam Polskę, miałam narzeczonego, który mnie porzucił dla panny umiejącej dobrze gotować. Byłam bardzo nieszczęśliwa. Potem studiowałam rzeźbę i anatomię. Potem wyszłam za mąż. Ale po jakimś czasie mąż powiedział mi: „albo ja, albo Polska”. No i wybrałam Polskę, mówi Różyczka z dziwnym wyrazem oczu.

Czy te wysiłki, te rezultaty, spotykają się ze zrozumieniem naszej paryskiej reprezentacji? Dziś, tak; ale w początkach było inaczej. Bezinteresowna i zapalczywa praca pani Bailly mąciła spokojną drzemkę naszej urzędowej propagandy. Była jej żywą krytyką. Ciskano jej też kamieni pod nogi, ile się dało. Ta niestrudzona przyjaciółka Polski zakosztowała wiele goryczy z polskiej strony. Trzeba jej było kochać Polskę i działać dla niej wbrew Polakom. I dziś jeszcze czyni się z pewnością za mało, aby wyzyskać tę nieocenioną siłę twórczą i ułatwić jej zadanie.

W dziejach organizacji naszego młodego państwa kilka lat tworzy odległą przeszłość. Ale trudno mi nie zestawić w pamięci dwóch dat: uroczystości molierowskie (1922), w których udział Polski zaprzepaściła tak dotkliwie nasza urzędowa „propaganda”, a świeży obchód w Sorbonie, którego miałem zaszczyt być pacjentem, a którego myśl, inicjatywa i wykonanie były dziełem Różyczki. I zważmy: z jednej strony całe biura, milionowe fundusze, wszystkie środki państwowego aparatu, z drugiej tylko zapał, inteligencja i ten nieoceniony kobiecy upór w spełnieniu swojej woli.

Gdziekolwiek byłem na prowincji francuskiej, wszędzie spotkałem ślady działalności pani Bailly. Wszędzie była, objechała setkę miast z odczytami o Polsce. Wszędzie wspominają jej bytność z sympatią, wdzięcznością. Przesunęła się ta cicha, mądra kobieta przez całą Francję, rzucając posiew nowej myśli, która wydaje plon. Bo, jak każda owocna działalność, tak i działalność pani Bailly zesła się z najistotniejszą potrzebą; pod wpływem jakiegoś dziwnego objawienia podjęła ona zadanie, które było koniecznością chwili. Odczuwa się to jeszcze bardziej na prowincji niż w Paryżu; przedstawia się to wręcz paradoksalnie: żywa sympatia do Polski, rosnąca świadomość spójni narzuconej tym dwóm narodom przez konieczność dziejów, i zarazem jakże mała wiedza o Polsce! W miarę jak likwidują się tradycje sojuszu francusko-rosyjskiego, słowo *Polska* coraz silniej nastrocza się myślom zatroskanego o przyszłość Francuza: Polska, kraj młodych nadziei, kraj najszerszych możliwości... To żywe zainteresowanie Polską współczesną — nieznaną — obok wskrzeszonych sentymentów do Polski dawnej, tej ze starych sztychów, oto tło umysłowości francuskiej w odniesieniu do nas. Ale o tym następnym razem.

Fizjognomia pani Bailly (zapomniałem powiedzieć, że dziś Różyczka włada dobrze polszczyzną i rozkoszuje się naszą literaturą w oryginałach) nie byłaby zupełna, gdyby pominąć jeden rys, który może najlepiej wytłumaczyć jej istotę. Różyczka jest poetką. I z poezji swej, jak z życia osobistego, zrobiła ofiarę dla Polski, bo przy swoim nawale pracy zaledwie ma czas pisać. Od czasu do czasu jedynie wymyka się w ukochane góry, gdzieś w Pireneje albo do Sabaudii, żyje tam — jak sama mówi — jak pastuszka, i wraca z plikiem wierszy. „Ale kiedy tu znaleźć czas na wykończenie czegoś, wzdycha Różyczka.

Los, Miłość, Polska,  
Erotyzm

Urzędnik

Poetka, Społecznik

<sup>7</sup>Czerwona Czapeczka — Czerwony Kapturek. [przypis edytorski]

Widzi pan, co się tu dzieje!” Istotnie! Klekot maszyn do pisania, nieustanny dzwonek telefonu, podłoga założona nakładami ostatnich broszur (wybór Mickiewicza, Żeromskiego), biurko zarzucone listami żądającymi pilnej odpowiedzi, kilku interesantów w poczekalni... Biedna Różyczka! Ileż poezji zamrze w niej, nie zdolawszy się rozwinąć. Niech jej będzie pociechą świadomość, że ona sama jest poezją, że jej wiara, jej odwaga w mierzeniu siły na zamiary, jej dzieło wreszcie, to żywy poemat, i że tam, w tym pokoju, ta wątła kobieta spełnia codziennie rzecz wielką, ziszczając sprawę duchowej spójni dwóch narodów, których wzajemna sympatia zawsze była poezją starej Europy.

## CO O NAS WIEDZĄ

Zawzyczaj, kiedy się mówi *Francja*, myśli się *Paryż*. Otóż, gdy chodzi o wiedzę o Polsce, o stosunek do Polski, trzeba poniekąd rozróżnić te dwa pojęcia: Paryż i prowincja. Paryż ma wiele sposobności i możliwości dowiadywania się o Polsce. Zawsze mieszkało i mieszka w Paryżu dużo Polaków, uczeni, artyści, światowcy, dyplomacja; są tam instytucje polskie, wystawy, biura propagandy; niewiele jest Paryżan, którzy by się z Polakami i polskością mniej lub więcej nie zetknęli. Inaczej na prowincji, zwłaszcza tej „zapadłej”. Co znaczy tam słowo Polska? Często to jakiś stary sztych na ścianie, przedstawiający księcia Józefa w falach Elstery, lub słynne „*l'ordre regne à Varsovie*”: to tradycje Polski męczeńskiej. Potem o Polsce długo było głucho. Czasem dzienniki piszą o zawikłaniach wewnętrznych w Polsce, z których Francuz na prowincji (jak niejedni mi się zwierzyli) nic a nic nie rozumie. Wieczni „bandyci polscy”, kwestia robotnicza, wszystko razem niewiele.

Z tego wszystkiego, z tych ech, z tradycji, z mglistej wiedzy o Rosji transponowanej na Polskę, kombinują się pojęcia. Pojęcia czasem dosyć dziwne, poczynawszy od klimatu, do języka, do kultury. Pomiedzy nagrodą Nobla a wilkami chodzącymi w zimie bez mała po ulicach granice są dość szerokie. „Czy teatry w Polsce grają sztuki francuskie? — Owszem, odpowiadam, w tej chwili nawet grają *Szkolę Żon* Moliera i *Święty gaj* Flersa. — Czy po polsku? spytał mnie profesor uniwersytetu. Oniemiałem! — A Szekspira się grywa? — Owszem, bardzo dużo. — Po polsku? — Po chińsku... miałem już ochotę odpowiedzieć.

Wszędzie na prowincji widzę afisz *Mecenasa Bolbec*, nowość, wciąż jeszcze graną w Paryżu. Powiadam, że widziałem już dość dawno tę sztukę w Warszawie. Zdumienie. — Po francusku? — Nie, po polsku. Zdumienie jeszcze większe.

„Czy Polacy austriaccy mówili między sobą po polsku?”

W pewnym niedużym mieście wywołał sensację mój frak, kiedy na zapytanie objaśniłem, że jest robiony w Warszawie, nie w Paryżu.

Wiedza ta zależy wreszcie od miasta. W Caen na przykład, gdzie buduje się dla nas okręty handlowe, gdzie był kilka razy nasz ambasador i zyskał powszechną sympatię, interesują się Polską współczesną, jej eksportem, surowcami, etc. W Aix-en-Provence starszy pan, któremu mnie przedstawiono, rzekł patetycznie: „Kocham Polskę, to naród męczenników. — Panie, czy ja wyglądam na męczennika?” odpowiedziałem mu, śmiejąc się. Starszy pan stropił się: zbrakło mu już tematu do rozmowy.

W pewnym ładnym mieście przedstawiają mnie dyrektorze liceum, jak mnie objaśniają, jednej z najświetlejszych kobiet we Francji. Bardzo miła i inteligentna osoba. Mówi mi na wstępie, że Wiktor Hugo nauczył ją kochać Polskę, deklamuje mi istotnie piękne strofy Wiktora Hugo o Polsce, ale na tym się i kończą jej wiadomości. Zadaje mi wiele pytań o Polskę dzisiejszą; objaśniam, opowiadam najlepiej, jak umiem; słucha z zajęciem, po czym, składając ręce, mówi mi tonem głębokiego szczęścia: „Zatem, proszę pana, w Polsce nie ma białego terroru<sup>8</sup>?”

Powiedzmy sobie otwarcie. Francja poza Paryżem wie o nas niezmiernie mało. Ani nie wiedzą, ani nie wiedzą, jak się dowiedzieć.

Bo chcieliby wiedzieć. Francuzi nie są z natury zbyt ciekawi obcych rzeczy, ale tu czują coraz bardziej, że sprawy polskie to są poniekąd ich sprawy. Tę świadomość wyczuwa się na każdym kroku; nie mówię już np. w takich stronach, jak w Alzacji, ale na południu Francji, gdzie prezesami miejscowych *Przyjaciół Polski* są francuscy generałowie.

Czasem źródłem niejakej wiedzy o Polsce jest jakaś rodzina emigrancka. Tak np.

<sup>8</sup>*biały terror* — represje przeciw zwolennikom rewolucji i Napoleona Bonaparte po jego upadku. [przypis edytorski]

w Rennes mieszka panna Helena Krzyżanowska, profesorka konserwatorium muzycznego, ceniona pianistka i kompozytorka, urodzona już we Francji. Mówi po polsku z cudzoziemską, ale czuje się Polką, skutecznie propaguje muzykę polską, mówi Francuzom o Polsce, opiekuje się serdecznie polskimi robotnikami, którzy się do niej zwracają. Żartem mówi o sobie, że jest nieoficjalnym konsulem polskim w Rennes. Rennes to stolica Bretanii, a Bretania jest bardzo nabożna; toteż p. Krzyżanowska dba nie tylko o ciało, ale i o duszę naszych wychodźców. Aby ułatwić spowiedź tym, którzy słabo władają francuskim językiem, sama sporządziła dla nich rachunek sumienia polsko-francuski i dała go odbić w tysiącach egzemplarzy. Mam egzemplarz tego oryginalnego „Polaka we Francji”: nie zapomniano tam o niczym. Oto niektóre z 25 wyszczególnionych grzechów: „Wyga-dywałem na Kościół święty. Złościłem się. Zazdrościłem”... (Mój Boże, jak mi to przypomniało lata moich dziecinnych spowiedzi, kiedy to spowiadałem się księdzu, że „byłem próżny, myślałem, że jestem ładniejszy od innych”... ). Aż pięć punktów tego rachunku sumienia dla naszych Antków przypada na grzech nieczystości: „Miałem dobrowolnie nieprzyzwoite myśli. Robiłem rzeczy nieprzyzwoite sam, z osobą wolną, z osobą zamężną (żoną)” etc.

Ale panna Krzyżanowska to raczej miły wyjątek. Większość potomków emigranckich rodzin to już zupełni Francuzi o polskich nazwiskach, jak np. bracia Slizewicz (wymawiają ich tam Slizwix), bankierzy w Toulonie, którzy przez pamięć swego pochodzenia wydali na moją cześć „*un Champagne d'honneur*”, ale też na tym się ich polskość kończy. Zupełnym Francuzem jest znany pisarz i działacz Żyromski etc.

Fakt, że towarzystwo *Les amis de La Pologne* rozpostarło w znacznej mierze swoją działalność na prowincję, dowodzi ze strony pani Rozy Bailly znakomitego wyczucia potrzeb propagandowych. Bo to, co o nas wie i myśli prowincja, to nie jest rzecz obojętna. Prowincja to wyborcy, to skład parlamentu, to opinia kraju.

W jaki sposób „Różyczka”, którą czytelnicy moi już poznali i pokochali z poprzedniego felietonu, bierze się do dzieła? Oto jak. Objeżdża Francję z doskonałym odczytem o Polsce. Następnie organizuje. Upatruje sobie jakąś wybitną jednostkę w mieście i robi z niej prezesa miejscowej filii Przyjaciół Polski; prezes organizuje resztę. Kogo upatrzy na ten cel, to zależy od okoliczności. Na Południu prezesi są to (tak się złożyło) generałowie; w Alzacji dygnitarze sądowi, w Mâcon prezes Akademii, w Nantes wybitny adwokat, w Rennes profesor uniwersytetu. Prezes filii w Colmar, prezydent sądu apelacyjnego, p. Bonfils-Lapouzade, uważał za obowiązek przyjąć tę godność i poświęcić się pracy dla Polski, gdyż dziadkowi jego ocalił Polak życie za wojen napoleońskich... Różyczka zna na wylot nastroje francuskie, umie wyzyskać i zainteresowanie Polską dzisiejszą, i sentyment do dawnej.

Tych filii prowincjonalnych jest, jak wspomniałem, 65: imponująca cyfra, i wciąż powstają nowe. Wyobraźmy sobie doniosłość tego: Francję pokrytą siecią organizacji, które mogą na zawołanie ściągnąć publiczność, urządzić odczyt czy wiec, które dzięki udziałowi wpływowych osób mają na swoje usługi miejscową prasę, salę do dyspozycji, poparcie władz, etc. Każde słowo rzucone z centrali paryskiej może natychmiast rozejść się po całej Francji. Ależ to jest potęga! I rozumiała staje się mądrość Różyczki w tym, aby organizację tę uczynić wyłącznie francuską: tylko taka organizacja mogła osiągnąć to, o czym, dla zrozumiałych przyczyn, nie mogłaby, nawet przy największej gorliwości, marzyć polska propaganda. Inna rzecz, że nasze władze powinny uczynić wszystko, aby w drodze ścisłego kontaktu z tym nieocenionym Stowarzyszeniem korzystać z jego organizacji i starać się o to, aby praca pani Bailly mogła być najwydatniejsza. Mógłbym o tym wszystkim niejedno powiedzieć p. ministrowi spraw zagranicznych, ale cóż, kiedy się mnie nie pyta...

Osobiście wyniosłem z mojej wędrówki prowincjonalnej najmiłsze wrażenie. Pomi-jam przyjemność osobistą; ale miłe mi było poczucie usług, jakie można tą drogą oddać naszej sprawie. Bawiło mnie zdumienie, z jakim się spotykałem, przewrót, jaki czyniłem w pojęciach francuskich prowincjałów o Polsce. Idąc na polski odczyt propagandowy, Francuz nastraja się raczej na ton łzawego współczucia; ostatnia rzecz, której się spodzie-wa, to że się będzie śmiał, że się będzie bawił. Polska wesoła, optymistyczna, tęga, przy-nosząca coś Francji, zamiast ją o coś prosić, była dla nich nowością. Zarazem umacniało się w nich przekonanie, że sympatie i powinowactwo duchowe między Francją a Polską są

czymś żywym, realnym, a nie legendą ze starej ryciny. I miło mi było czuć, że Polska na długo (bo prowincja długo przetrawia swoje wrażenia) staje się w danym mieście aktualnością, miło mi było widzieć w całej prasie wielozpaltowe artykuły zatytułowane, jak np. w Marsylii: „Niech żyje Polska, panowie!” Miło mi było słyszeć toasty na cześć Polski, na cześć prezydenta Republiki Polskiej, wznoszone przez prefektów i burmistrzów. No i wina przy tych toastach też były nie do pogardzenia.

Po uroczystości w Sorbonie stanowisko prasy warszawskiej było dość oryginalne. Można by przypuścić, że są rzeczy, przy których „polityka”, lub to, co tutaj nazywają polityką, się kończy; gdzie tam! Nasza prasa „prawicowa” znalazła tu temat jedynie do dziecinnych szykan. („Jeden korespondent pisze, że w Sorbonie było 3000 osób, drugi, że 5000, podczas gdy wiadomo jest (!), że wielki amfiteatr Sorbony mieści niespełna 1000 osób; jeden pisze, że minister Marin przypiął Boyowi krzyż na początku, a drugi, że na końcu, kto tedy *złgał?* etc., woła pewna gazetka, a najzabawniejsze jest, że na tle stosunków paryskich uroczystość w Sorbonie miała charakter wybitnie „prawicowy”...) Szereg pism uważał za stosowne zakonspirować mój objazd po Francji głębokim milczeniem. Nie dla próżnej chwalby tedy, ale ponieważ misja moja była poniekąd publiczna, pozwolę sobie przytoczyć pewien dokument, świadectwo efektu mojej wędrówki. Jest to, w skróceniu, list prof. Duhain, prezesa akademii w Mâcon, pisany do pani Rozy Bailly po mojej bytności w tym mieście:

„Droga pani.

Boy oczarował słuchaczy, Boy stał się przyjacielem makończyków. W istocie, w niedzielę p. Żeleński odniósł w naszym mieście ogromny sukces i z wielką radością staje się tu tłumaczem 500 osób, które go słyszały, oklaskiwały, witały.

W sobotę wieczór byłem na dworcu, p. Żeleński przyjechał nieładzko zmęczony, ale dobrze przespana noc wróciła mu jego dobry wygląd i werwę. Zjadłem śniadanie z nim w hotelu, po czym zabrałem go do siebie na kubek szampana i czarną kawę. Dowcip i czarująca oryginalność naszego polskiego prelegenta objawiły się już naszym przyjaciołom i byliśmy od razu pewni, że zachwyci słuchaczy.

...Od pierwszych słów Boy trafił do serca makończyków, mówiąc im, że przed podróżą do Francji, chcąc poprawić sobie akcent, czytywał głośno „Jocelyna”: nie można było bardziej ucieszyć dusz makońskich<sup>9</sup>.

Oklaskiwano go bez końca, co najmniej trzydzieści albo czterdzieści razy. We czwartek na posiedzeniu postawię wniosek, aby p. Boya-Żeleńskiego mianować członkiem honorowym naszej Akademii.

Kiedy, zeszedłszy z estrady, wróciliśmy na salę, aby posłuchać koncertu po odczycie, oklaski i brawa wybuchły na nowo: nasz sympatyczny Polak, uśmiechnięty i zmieszany, był widocznie wzruszony. Wieczorem przy obiedzie, w którym brał udział nasz prefekt, Boy czarował swą werwą i pożegnaliśmy go na dworcu z żalem w sercu, że tak piękny dzień już uleciał. Wyznaję, że pani przyjaciel Boy podbił mnie zupełnie i bardzo mi żal, że żegnając się z nim nie uściskałem go tak, jak się ściska brata albo najlepszego przyjaciela”.

Otrzymując takie listy, Różyczka bierze mapę Francji i proponuje mi ni mniej ni więcej jak 150 miast. „Lepszej propagandy dla Polski nie znajdę”, powiada.

— Ależ, Różyczko, odpowiadam ze śmiechem, nim dojadę do ostatniego, będę już zgrzybiałym starcem, przestanę być czarujący!

Ale obiecałem wrócić w jesieni, oczarować jeszcze kilkanaście miejscowości.

Ci, którzy mnie znają w Warszawie nieśmiałym, milczącym i zamkniętym, z trudnością wyobrażą mnie sobie w tej roli. Ja też sobie w duchu powtarzałem te wiersze z Pana

<sup>9</sup>Od pierwszych słów Boy trafił do serca makończyków, mówiąc im, że przed podróżą do Francji, chcąc poprawić sobie akcent, czytywał głośno „Jocelyna”: nie można było bardziej ucieszyć dusz makońskich — Mâcon jest to rodzinne miasto Lamartine’a osiągnięte tradycjami poety, który był trzykrotnym prezesem tamtejszej akademii. [przypis autorski]



Tadeusza: „Zdziwili się obecni patrząc na Robaka, skąd mu się wzięła mina i wesołość taka”... Wszystko dla Ojczyzny. Ale co mnie to zdrowia kosztowało!...

## W SORBONIE I GDZIE INDZIEJ

W poprzednich felietonach spłaciłem dług nastrojom społecznym, czy wolno mi teraz będzie skreślić parę słów wrażeń osobistych? Należy się to ode mnie delikatności moich znajomych, z których każdy mówi mi: „Nie będę pana męczył pytaniami, bo pewno pan to wszystko opisze”. Ale od czego zacząć, kiedy mi się wszystko po trosze w głowie poplątało, wszystko stopiło się jak lody w jedną bryjkę, będącą symbolem mojego życia, splątanego z rzeczy serio i mniej serio. Więc jednego dnia Sorbona, tłum publiczności, orkiestra, posągi wielkich ludzi, ambasadorowie, ministrowie, Akademicy, a na środku ja nieborak z nieokreślonym uczuciem psa w kręgielni. Nazajutrz inny obraz: recepcja u studentów francuskich, gdzie kochane chłopcy śpiewają mi pieśni, od których uszy więdną. I znów nazajutrz śniadanie na moją cześć w polskiej ambasadzie, przy stole cały podręcznik literatury francuskiej, same tuzy, przyjęcie w najwyższym stylu, lokaje dyskretnie szepczą do ucha nazwę i rok nalewanego wina, przed gościem po sześć widelców, do każdej rzeczy inny. Cały czas zerkam na Flersa siedzącego naprzeciwko, obserwuję, którym widelcem co bierze i naśladuję go ślepo: taki to się nie pomyli. Ambasadorowa mówi o Montaigne’u, ambasador mówi o Pascalu, takie czasy! Nazajutrz charleston w Grand-Écart, gdzie bardzo dystyngowana cudzoziemka choruje mi sposobem morskim na rękaw od smokinga: kiedym się nazajutrz na to żalił przed przyjacielem moim, Francuzem, odpowiedział mi tonem delikatnego wyrzutu: „*Mais, mon cher, czy to jest miejsce dla oficera Legii Honorowej?*” Nazajutrz przemawiam w Maçon, gdzie zostaję członkiem Akademii, koledzy moi Akademicy odprowadzają mnie wieczór na kolej, rano wysiadam w Monte-Carlo, gdzie wygrywam trzy razy numer *en plein*, zjadam obiad z piękną panią Laurą, wracam do kasyna, postanawiając grać rozsądnie, wskutek czego przegrywam prawie wszystko po powrocie, i nazajutrz jestem w Tulonie, gdzie imieniem ziemkó wita mnie na dworcu p. Edward Ligocki. Czyż nie miałem racji mówiąc o nierozważnym splocie rzeczy serio i mniej serio?

Wieczorem w Tulonie pokazują mi historyczną niemal kawiarnię, gdzie siadywały *nos petites alliées*, „nasze sojuszniczki”, z powieści Claude Farrère’a. Siadam w kąciku i rozglądam się po sali. Może się coś zepsuło od czasów Farrère’a, ale widzę same zdziury. Patrzę na nie niemal z rozrzewnieniem. Chciałbym im powiedzieć: „Czemu mnie nie witacie? To ja, siostra wasza, dziwka, dobrze znana w Kielcach i w Radomiu, która wyrwana z ojczyzny przyjechała, zawadziwszy o Paryż, obrabiać portowe miasta... Komu by się ta metafora wydała nie dość jasna, tego odsyłam do książki mojej pt. *Brewerie* i do zawartego w niej artykułiku „Mój objazd pasterski”. Bo ta książka właśnie była początkiem wszystkiego. Dano ją „Różyczce”, skoro się poduczyla po polsku, przeczytała mój odczyt *Jak zostałem literatem*, i zwróciła się do mnie, czy bym nie powiedział w Paryżu czegoś w tym rodzaju, ale dla Francuzów. Zgodziłem się, nie przypuszczając, że moja gawęda ma się stać osią uroczystości na tę skalę. I kiedy o tym dziś jeszcze myślę, nie mogę się wstrzymać od podziwu dla odwagi i literackiej intuicji Różyczki, która nie bała się puścić *Zielonego Balonika* pod kopułę Sorbony. Ale Różyczka lubi ryzyko. Śmiałem się z niej potem, że kiedy siedziała na estradzie nabitej dostojnikami, wlepiała we mnie wzrok z miną człowieka, który postawił 100 franków na konia i ściga go oczyma, czy dojdzie, czy też połamie nogi.

Koń

Doszedłem, wziąłem parę przeszkód, w czasie których sala zaniepokojona wstrzymywała oddech, a potem parskała śmiechem, i znalazłem się w dobrej formie u mety. Stary Doumic machnął chorągiewką, ogłaszając zwycięstwo, minister Marin zaprowadził mnie do wagi, trybuny grzmiały od oklasków, a ja zdyszany, parujący, nadstawiałem kopyto gratulantom. Pamiętam jakieś starsze damy, które ścisnęły mi ze łzami rękę, mówiąc tylko: „Polka! Polka!” jedyne słowo, jakie umiały niebożątka, widocznie córki czy wnuczki emigrantów.

Zabawa

Co ja dziś za rzeczy wypisuję! Dziwka, koń, czy to jest styl dla oficera Legii Honorowej, powiedziałby mi mój francuski przyjaciel. Ale przebaczone mi, czytelnicy; to reakcja: sześć tygodni reprezentowałem, sześć tygodni byłem przyzwoity, dobrze wychowany, bez

zarzutu. To, mimo wszystko, ciąży. Człowiek może w Warszawie robić paryżanina, ale w Paryżu czuje się po trosze dzikusiem, człowiekiem Wschodu, jaraczem: ciąży mu to doskonale uregulowanie form życia. Oczywiście w zetknięciu z Francuzami, bo istnieje drugi osobny Paryż dla cudzoziemców. Ale Francuzi są szalenie uporządkowani. Wszyscy piją wino, ale nikt się nie upija; wszyscy się śmieją, ale w pewnych granicach; wszyscy się bawią, ale nigdy do jutra rana. Nie zdarzyło mi się widzieć najmniejszego przekroczenia tych norm nałożonych przez nawyk wytężonej pracy i przez wiekową kulturę zabawy. I przyznaję, że dławilem się po trosze w tym rozsądku. Wówczas wymykałem się do rosyjskiej knajpki, gdzie przy bałajace zawodzą tęskne pieśni, gdzie człowiek jak ów Protasow w *Żywym trupie* powtarza w duszy: „Śpiewaj, Masza! Śpiewaj ciągle! ach, byle tak trwało”... Albo do zacisznych barów, gdzie sucha Ameryka zalewa się kunsztownie mieszczanymi koktajlami. Albo do pewnego sympatycznego lokalu, gdzie w stłoczonej izdebce Murzyni oszalałym rytmem kołyszą do tańca pederastów i lesbijki. Dziwnym prawem kontrastu, zawsze w tej norze czuję jakiś przyływ zdrowia moralnego, powiew tężyzny. To wszystko to ów Paryż cudzoziemców; udział Francuzów w tych zabawach jest znikomo mały. W czasie mojej niezawinionej przygody w Grand-Écart miałem z dziesięcioro towarzyszy niedoli, powstał krzyk, pisk, jak przy tonięciu okrętu, ale zarazem istna wieża Babel cudzoziemskich języków i akcentów.

Ten sam, nawet jeszcze większy umiar w zabawie istnieje na prowincji. Przyjmowany wszędzie najserdeczniej, karmiony, pojony, ale nigdy poza określoną porę, nigdzie nie spotkałem człowieka, który by mi powiedział z serca po przepisowej godzinie: „No, teraz chodźmy się napić”. Zwłaszcza dla żonatych ludzi rygor jest bezwzględny. Kiedy w Aix-en-Provence siadaliśmy o wpół do ósmej do obiadu, pytam się, jaki będę miał powrót do Marsylii. Mówią mi: „ostatni pociąg odchodzi o 9 wieczór, potem jest jeszcze autobus z kasyna o 12; ale to już pewnie dla pana będzie późno, no i ci panowie są żonaci...” Wyobraźmy sobie u nas przy tej samej temperaturze serdeczności: sądzę, że autobus z kasyna odjechałby próżny, a ja na drugi dzień rano, w kapeluszu na bakier, wypiwszy moc brudersaftów z ludźmi, o których nie wiem, jak się nazywają, gramoliłbym się do wagonu.

Pewien profesor na prowincji, który traktował mnie jak luminarza, powiedział mi: „To takie miłe u pana, że pan, przy pańskim stanowisku, zachował w sobie coś z cyganerii. — Drogi panie, odpowiedziałem, cała Polska to jest wielka cyganeria. Nigdy nie mieliśmy czasu ani sposobności wyrobić w sobie cnót burżuazyjnych. Drogi wytyczali nam poeci, jedyną naszą rzetelną produkcją była sztuka, a inteligencja rekrutowała się ze zbankrutowanej szlachty. To nasz wdzięk”.

I ten cygański wdzięk ujmuje każdego Francuza, który zabawi jakiś czas w Polsce. Widziałem sporo takich, którzy byli u nas: wszyscy zachowali najmiłsze wspomnienie. Bo Francuz, gdy znajdzie się w Polsce, polaczeje bardzo łatwo. Wie, że mu to nie zaszkodzi, jest na wakacjach, jest mu to miłym wytchnieniem po rygorach francuskiego życia. Spędza tych kilka tygodni w atmosferze rozlewnej serdeczności i wspomina je potem długo. Znałem młodego adwokata na Południu, który był miesiąc w Polsce z wycieczką studentów: nie przestaje mówić o tym pobycie, wspomina go jak poezję swego życia. To także nieoceniona Różyczka organizuje takie wycieczki: powinno by się czynić wszystko, aby ich było jak najwięcej, bo ci nasi goście stają się potem rozsądnikami polskich sympatii.

Zwracam uwagę, że zakończyłem felieton nuta społeczną.

## U MŁODZIEŻY

Następny dzień spędziłem w królestwie studentów; zaproszono mnie w dwa miejsca: do słynnej *Cité universitaire* i do stowarzyszenie studentów paryskich przy ulicy La Bucherie. Dwa różne światy! Niebo i piekło; uspokójcie się, piekło najsympatyczniejsze w świecie.

*Cité universitaire*, Miasto Uniwersyteckie — to niebo. Niebo higieniczne, wzorowo urządzone, pełne cnót i zalet. Jest to wielka fundacja o międzynarodowym charakterze, licząca zaledwie parę lat istnienia, miasto przyszłości. Oto, jak powstało, jakie są jego pobudki i cele.

Polak, Pozycja społeczna,  
Artysta

Uniwersytet paryski ma obecnie przeszło 22 000 słuchaczy, z tego więcej niż 3 500 cudzoziemców. Tyle sam uniwersytet, nie licząc wielu uczelni zawodowych. Ta olbrzymia masa młodzieży żyje i pracuje przeważnie w opłakanych warunkach; źle mieszka, źle jedzą, zabijają się zarobkową pracą; niejeden przyszły geniusz może zmarnieć w tych warunkach.

Najbardziej palącą w ostatnich czasach była, jak wszędzie, kwestia mieszkaniowa. Otóż znalazł się człowiek — był nim p. Emil Deutsch — który ofiarował uniwersytetowi paryskiemu 10 milionów franków z warunkiem zbudowania domów studenckich na gruncie dawnych fortyfikacji przy bulwarze Jourdan, w najzdrowszym punkcie Paryża. Zakupiono olbrzymi teren, 28 hektarów gruntu: 9 przeznaczono na domy mieszkalne, 19 na park i tereny sportowe. Oto zaczątek Miasta Uniwersyteckiego.

Wedle intencji fundatora, Miasto Uniwersyteckie ma służyć młodzieży wszystkich krajów. Jest w tym głęboka myśl: rozwinać, skupiając i zbliżając młodzież ze wszystkich stron świata, ducha wszechbraterstwa, koleżeństwa w pracy i w zabawie, ducha internacjonalizmu w szlachetnym pojęciu. Zarazem najstarszy uniwersytet świata miał odzyskać swój charakter, który posiada od XII wieku.

Każda narodowość, która okaże gotowość zbudowania tam swego domu, otrzymuje na ten cel potrzebny grunt. Jakoż niebawem, dzięki ofiarności państwa Biermans-Lapotre, powstał, kosztem 5 milionów franków, dom studentów belgijskich: po nim świeżo otwarty dom Kanadyjczyków. Posypały się dary na dom Argentyńczyków, na dom wychowanków École Centrale, na dom wychowanków Szkoły Rolniczej w Paryżu, na dom studentów amerykańskich, angielskich; wybierają sobie tereny Szwajcarzy, Holendrzy, Hiszpanie, Kubańczycy. Miasto rośnie jak na drożdżach. Niebawem będzie liczyło 4 000 mieszkańców.

Celem tego Miasta jest, aby uczeń znalazł w nim wszystko, dom, pracę i zabawę. Proste, ale miłe pokoje różnią się od tego rodzaju zakładów zręczną kokieterią; każdy jest nieco odmienny, nawet obicia ma inne, iżby uniknął wyglądu koszarowego i stał się przytulnym dla mieszkańca. W osobnych gmachach mieści się tania a zdrowa restauracja, biblioteki, miejsca zebrań, koncertów, odczytów. W olbrzymim parku tereny dla zabaw i sportów.

Organizatorowie nie tają, że pragnęliby udziału wszystkich narodów w tym dziele. Szczególnie pragnęliby widzieć tam dom polski. Prosił mnie wprost, abym, wróciwszy do kraju, poruszył tę ideę. Liczba Polaków studiujących w Paryżu zawsze była znaczna; Paryż ma w dziejach naszego duchowego życia niezapomniane karty przeszłości i wciąż żywą terażniejszość. Byłoby dziwne, gdyby Polski miało braknąć w tym zespole. Dom polski powinien stanąć w tym Mieście Uniwersyteckim, czy to funduszem rządowym, czy też prywatną ofiarnością. Może się znajdzie ktoś, kto zechce imię swoje zapisać w trwałym i szlachetnym dziele?

W inny zupełnie świat wchodzę w *La Bucherie*, domu Stowarzyszenia studentów paryskich. W Mieście Uniwersyteckim byliśmy niejako poza Paryżem, na samym jego krańcu, wszystko tam oddycha nowoczesnością, higieną, klasztornym niemal porządkiem. Tutaj jestem w sercu Paryża, w gmachu przerobionym z jakiegoś starego klasztoru, przez okno na szczycie domu widać wieżę Notre-Dame, w dole ciasne uliczki Dzielnicy Łacińskiej... Czuje się człowiek przeniesiony w jakieś czasy Villona, w czasy żaków-psotników, w średniowiecze...

Niedziela, dzień zabawy, odpoczynku. W jednej sali dancing, gdzie wciągają mnie we wściekłą *farandolę*, przy której raz po raz ktoś leży na ziemi. Przypominają mi się dawne farandole, tańczone het na szczycie Montmartre, w *Moulin de la Galette*, kiedy to się jeszcze nie śniło o dancingach i kiedy jedynie Bullier i Moulin de la Galette parę razy na tydzień od 9 do 12 otwierały podwoje dla tańca. W drugiej sali, w barze, hałas, krzyk nie do opisanania; to studenci urządzają sobie wyścigi dookoła na krzeselkach. Obchodzę wszystko: salę do pracy, gdzie mimo niedzieli siedzi nad książką po kilka osób; dalej bibliotekę, mieszczącą się pod kopułą starej kaplicy. Oryginalna na wskróś figura to bibliotekarz, typ żelaznego studenta, zresztą ukończony prawnik, który wszakże absolutnie nie chciał przejść do zawodowego życia i został przy studentach. Uznając, że tak wytrwała wola próżnowania to już nie kaprys, ale prawdziwa wokacja, studenci utworzyli mu synekurę

bibliotekarza, na której zdołał dojść do wcale poważnego wieku. Jest żywym zbiorem piosenek studenckich i robi honory domu.

Ach, te piosenki studenckie! Nie wiem, kto puścił tam plotkę, że ja, jako tłumacz Rabelais'go, lubię te najostrejsze: jakoż kochani chłopcy przygotowali się, aby mi dogodzić w tej mierze. Było czego słuchać. A pieprzykiem studenckich piosenek dzisiaj jest i to, że powstawały one w epoce, kiedy nie było studentek; dziś śpiewa się je oczywiście w ich obecności, często przy ich wtórze. Panienki zachowują przy tym zupełną powagę, taką jaką ma młoda i skromna słuchaczka medycyny, studiując atlas anatomiczny: to należy do czynności naukowych. Na stole zastawionym w starej kaplicy pojawia się armia butelek szampana: wszak zaproszono mnie na *Vouvray d'honneur!* Tam to, otoczony kręgiem studentów, wznoszących chórem „*Un chic a Boy*”, wykonałem ów taniec solo, który tak poetycznie opisała w korespondencji swojej p. Aurelia Wyleżyńska, jako „połączenie pierwiastku benedyktyńskiego z dionizyjskim”.

Wypyuję tutejszych studentów o Miasto Uniwersyteckie, ciekaw jestem, co sami młodzi o nim myślą. Mówią o nim z uznaniem, ale czuć, że student z *La Bucherie* niełatwo dałby się tam zapakować. Bo ta organizacja, przez to samo, że jest zakrojona na olbrzymie rozmiary, musi mieć w sobie coś fabrycznego, coś dość obcego duchowi paryskiej studenterii bodaj przez swą doskonałość. Ta jednostajność, te rygory, te regulaminy, te oznaczone godziny powrotu... Francuski student umie sobie nałożyć rygor sam, ale nie bardzo znosi, aby mu nakładał kto inny.

Miasto Uniwersyteckie, to przyszła Pan-Europa, dzieło mądre, logiczne, bogate w przyszość; *La Bucherie*, to Paryż, to Francja, jakże uroczą w swojej radości życia, jak tęga pod swymi pozorami lekkością! I przypomniał mi się ustęp z *Ducha Praw*, którego świeżo przekładałem, gdzie wielki pisarz powiada z wyraźną myślą o Francji:

„Gdyby istniał na świecie naród łatwy w obcowaniu, serdeczny, pełen radości życia, smaku, swobody w wymianie myśli; naród żywy i miły, czasem nieopatrzny, często lekomyślny; przy tym odważny, szlachetny, szczerzy, z poczuciem honoru, nie należałoby pętać prawami jego obyczaju z obawy, aby nie spętać jego zalet. Jeżeli charakter jest dobry, cóż znaczą pewne wady, które się z nim łączą?”

Można by tam bardziej trzymać w karbach kobiety; stworzyć prawa, aby poprawić ich obyczaje i ograniczyć zbytek; ale kto wie, czy nie zgubiłoby się przy tym niejakiego smaku, który jest źródłem bogactw narodu, i dworności, która doń ściąga cudzoziemców?

Niech ktoś wszczepi ducha pedanterii w naród z natury wesoły, państwo nie zyska na tym nic, ani na wewnątrz, ani na zewnątrz. Pozwólcie mu robić rzeczy płocze poważnie, a rzeczy poważne wesoło.”

Tak mówi roztropny Monteskiusz. Nie bądźmyż surowsi od niego.

## STOSUNKI

Opisując przyjęcie u studentów paryskich w *La Bucherie*, zapomniałem dodać, że w stowarzyszeniu tym istnieje grupa Przyjaciół Polski, w ścisłym związku z centralą *Les amis de la Pologne*. Różyczka i tam dotarła.

A teraz róbmy plotki. Zauważyłem, że wszyscy przepadają za plotkami, a nikt się do tego nie chce przyznać. Trzeba to przełamać.

Przy tym w tym wypadku plotki mają głębszy sens. Dla narodów żyjących z dawną normalnym życiem państwowym tego rodzaju międzynarodowe występy są czymś zwyczajnym; dla nas wszystkie kroki na arenie światowej są nowością, są pierwszym kapitałem doświadczeń. Kiedy syn wraca z pierwszego balu, budzi matkę i opowiada wszystko „jak było”.

Chcę mówić dziś o stosunkach. Czytelnik przypuszcza zaraz coś nieprzyzwoitego. Wcale nie. Mówię o innych stosunkach.

Stosunki w Paryżu są łatwe i trudne. Każdy tam nosi pancierz banalnej grzeczności, zapewne konieczną samoobronę w zetknięciach zdawkowych; prostotę, serdeczność, uczynność chowa na stosunki prawdziwe.

Ale też nie o tych stosunkach chcę dziś mówić. Będę mówił o wysokich stosunkach. I tam też te same przeciwieństwa. Wrażenie takiego zabawnego kontrastu zachowałem z mego zetknięcia (bagatela!) z dwoma ministrami.

Plotka

Jednego dnia pani Bailly powiada mi, że chciałaby mnie zaprosić na śniadanie z ministrem Marin. Czuję się wielce zaszczycony. Pytam się, gdzie?

— U Bartka.

Zdziwiłem się nieco w duchu. Ten potężny minister u Bartka! *Bartek* jest to taniutka „oberża polska” przy ulicy Royer-Collard, mała tak, że zmieści się tam z trudem trzydzieści osób na wąskich ławeczkach, miła, ale arcystudencka, co może być najskromniejszego. Stawiam się tedy u Bartka; o oznaczonej godzinie wchodzi minister, olbrzym z sumiastym wąsem, z teką (teką ministerialną!) pod pachą. Wchodzi z najnaturalniejszą miną, jakby był jeszcze studentem, który jest w Dzielnicy Łacińskiej u siebie w domu. Siadamy we czwórkę na ciasnych ławeczkach: czwartym jest jeden z najwplywowszych posłów, wiceprezes grupy Przyjaciół Polski w parlamencie. Rozmowa najswobodniejsza w świecie, mówimy o humorze, o piosence, o śmiechu; minister gawędzi wesoło, wspomina, jak raz, jako poseł, zażył z mańki wyborców, opowiadając im w chwili bardzo niebezpiecznego głosowania pieprzną anegdotę, którą ich tak rozbawił, że uchwalili mu wszystko, co chciał; dopiero na drugi dzień robili mu wyrzuty, że ich wziął na kawał. Jemy barszcz, zrazy, siedzimy długo przy kawie. Żegnam ministra z tym uczuciem, że, gdybym miał kiedy do niego interes, walę prosto jak do starego znajomego.

Innego dnia mówi mi Różyczka: „Postarałam się dla pana o audiencję u ministra Herriot, należało się koniecznie, aby on pana przyjął. Wyznaczono nam godzinę na wpół do dwunastej, tak że nie będziemy czekać”.

Przybywamy o wpół do dwunastej. Poczekalnia przepelniona. Ludzie z wielkimi brodami, jakich się już nigdzie nie widuje; domyślam się, że to delegacje profesorów z prowincji (Herriot jest ministrem oświaty). Dowiadujemy się, że brodacze koczują tu od 9 rano. Z boku siedzi młoda kobieta z pękiem kwiatów, zapewne dla ministra. Przejorna osoba wzięła wrzosy, jakby w przeczuciu, że inne kwiaty zwiędłyby, nim się doczeka swojej kolei.

— Kiedy się będzie można dostać do p. ministra?

— Nie wcześniej, niż za dwie godziny.

Fatalne! Na pierwszą zamówił mnie p. Stephane Aubac („Polak, choć się po francusku zdobył”, Sagalas London a Bałabanówka, najuczynniejszy człowiek w świecie) na śniadanie z dwoma potężnymi dziennikarzami: Muret, *Debaty*, i Finot, *Revue Mondiale*.

— Coś trzeba zrobić, Różyczko.

— Chodźmy do pana Ripault, to wielki przyjaciel Polski.

Idziemy do szefa gabinetu, p. Louis Ripault, który świeżo wydał bardzo interesującą książkę *Pendant la tourmente, France et Pologne* (gdzie mieszczą się wszystkie dokumenty dotyczące stosunku Francji i Polski w czasie wielkiej wojny, wraz z tymi, które były swego czasu skonfiskowane w dziennikach przez francuską cenzurę. Przedmowę do tej książki napisał minister Herriot).

P. Ripault przyjmuje nas bardzo serdecznie, gawędzimy o sprawach polskich, zaprasza mnie do Châtellrault, gdzie jest merem, wreszcie wydaje polecenie woźnemu, aby nas wprowadził do ministra zaraz. Wracamy do poczekalni. Złudzenie! Szef kancelarii swoje, woźny swoje. Raz po raz wpuszcza brodaczy, a my siedzimy. Zaczynam pojmować głębką filozofię damy z wrzosami.

Już po pierwszej. Mówię do Różyczki: — Chyba już pójdę, bo tamci panowie to dziennikarze, mają o mnie pisać artykuły, będą głodni, żli, i to się na mnie odbije, a minister co? fume, pu!

Różyczka rozumie życie. — Chodźmy, mówi. Zostawi pan u woźnego bilet.

Idziemy do woźnego. — Żałuję bardzo, że już nie mogę czekać, powiadam, chciałem tylko na minutę złożyć uszanowanie panu ministrowi, zostawiam moją kartę.

Woźny spogląda na mnie badawczo. Widocznie egzamin wypadł pomyślnie, bo mówi:

— Skoro pan tylko na chwilę, to postaram się pana wpuścić przed delegacjami. (Ileż tych delegacji!?). Może państwo pozwolą do pana sekretarza.

Wchodzimy do sekretarza; Różyczka tłumaczy mu naszą historię. — Naznaczono nam audiencję na wpół do dwunastej...

Sekretarz rozkłada bezradnie ręce. Delegacje czekają od dziewiątej...

W tej chwili rozlega się dzwonek telefonu. Sekretarz bierze słuchawkę, rozmawia chwilę, poczym śmieje się i mówi:

— To ten pocziwy Aubac dowiaduje się, co się dzieje z panem Boyem, bo tamci panowie są głodni. To już chyba muszę pana wypuścić.

Zagląda przez boczne drzwi, trafia na chwilę, w której między jedną a drugą audiencją nie ma nikogo, i wpycha mnie bez żadnej zapowiedzi do pokoju ministra. Znajduję się naprzeciwko krępego mężczyzny w sile wieku, który patrzy na mnie, nie wiedząc, kto jestem, i w jakich zamiarach się tam znalazłem. Ja patrzę na niego. Patrzymy na siebie. Minister robi wrażenie człowieka nieludzko zmęczonego i wzburzonego zarazem, głowa mu się trzęsie, oczy ma nabiegłe krwią, wygląda na to, że miał przed chwilą jakąś bardzo niemiłą rozmowę, że krzyczał, może kogoś wyrzucił za drzwi i jeszcze nie przyszedł do siebie.

Sytuacja krótka, ale kłopotliwa. Szczęściem wpada do gabinetu Różyczka i widząc, co się dzieje, na gwałt zagaja: Mam zaszczyt panu ministrowi przedstawić... pan Boy-Żeleński... o którym pan minister...

Minister patrzy na mnie nieprzytomnie, oddycha ciężko i zduszonym głosem mówi: — *Je sais... Je sais*<sup>10</sup>...

Różyczka ciągnie swoją litanie dalej: — Który... którego... któremu... etc.

Minister wyciąga do mnie rękę: — *Je sais... Je sais...* Francja jest panu wdzięczna...

Patrzę na niego i żal mi go serdecznie. I myślę w duchu: czy to warto wybierać najlepszych ludzi na ministrów, aby ich używać potem do takich zajęć? O, rozrzutna demokracjo!

— Francja jest panu wdzięczna...

Naraz błyska mu w zmęczonej głowie zbawcza myśl, temat do rozmowy:

— Niech pan przyjedzie w niedzielę do Lyonu. Patrzę niespokojnie na Różyczkę.

— Panie ministrze, powiada, pan Żeleński niestety nie może, jutro wyjeżdża do Alzacji, w sobotę ma być w Colmar...

Minister oddycha ciężko. — To nic... To nic... niech pan przyjedzie w niedzielę do Lyonu.

— Ekscelencjo, niestety...

Minister zniechęcony rozkłada ręce, po czym wyciąga do mnie prawicę. Audiencja skończona. Wypadam jak student z klasy, ciągnę Różyczkę tanecznym krokiem przez poczekalnię (pani z wrzosami wciąż czeka), mam ochotę uściskać woźnego, portiera. Brodacze patrzą na nas z zawiścią. Rzucam się w taxi i pędzę na śniadanie. Ależ tam muszą być głodni, muszą kłąć!

Zastaję wszystkich w dobrych humorach, na terasie Webera; słońce świeci, opalizując kieliszki z wermutem.

Oprócz p. Aubac i dwóch dziennikarzy jest i p. Ripault, ten sam, u którego byłem przed godziną. Pyta, czy się dostałem do ministra. Opowiadam mu, śmiejąc się, moją audiencję. — Niech się pan kłania ministrowi, dodaję, i niech mu pan powie, że czytałem jego książkę o pani Recamier, ale nie powiedziałem mu tego, żeby nie wyglądało, że schlebiam władzy.

— O, to szkoda, że mu pan nie powiedział, to by go bardzo zajęło; *c'est un homme de lettres*.

— Czemu pan mnie nie wspomniał, że pan chce widzieć ministra, mówi p. Aubac, byłby pana przyjął osobno i przed wszystkimi, rano, kiedy jeszcze nie jest zmęczony. Pogadaliście sobie.

Mówi to z tak spokojną pewnością, że, gdybym kiedy potrzebował telegraficznego błogosławieństwa od Ojca Świętego, udałbym się tylko do Aubaca. Ten ma stosunki! Ale nigdy głównymi drzwiami, to nic nie warte.

## ECHA PIOSENKI

Od czasu, gdy byłem profesorem uniwersytetu, zostało mi profesorskie roztargnienie: zawsze czegoś zapomnę, to parasola, to teczki. I tak, w poprzednim felietonie wprowadziłem na scenę p. Aubac, a zapomniałem go szerszej publiczności przedstawić: objaśniam zatem, że to jest dziennikarz paryski, korespondent pism warszawskich etc.

<sup>10</sup>*Je sais* (fr.) — wiem. [przypis edytorski]

Drugiej rzeczy zapomniałem, opowiadając o prowincji francuskiej i jej budzącym się zainteresowaniu Polską. Udzielono mi mianowicie w naszej ambasadzie wzruszającego dokumentu: list francuskiego uczniaka adresowany wprost do ambasadora. List, pisany uczniowskim pismem na kartce wydartej z zeszytu, brzmi:

„Panie Ambasadzorze Polski!

Jestem uczniem niższego gimnazjum w Besançon i mam przygotować odczyt o Polsce; proszę tedy Pana najuprzejmiej o łaskawe nadesłanie mi fotografii, dokumentów oraz ekonomicznych i politycznych dat dotyczących Polski.

Racz przyjąć, Panie Ambasadzorze, wyrazy mego głębokiego szacunku.

*Georges Devillers*

Dołączam markę za 50 centimów na odpowiedź.”

Obawiam się, że nasze dzieciaki, ośmielone przykładem tej pięknej ufności, zaczną się masowo zgłaszać do p. Laroche o fotografię Józefiny Backer.

A teraz mówmy o czym innym, mówmy jeszcze raz o piosence.

Odkąd sięgnę pamięcią wstecz, zawsze się słyszy u nas felietonowe rozważania, czy piosenka we Francji się przeżyła, czy zanikła, etc. Czy może zaniknąć to, co tkwi tak głęboko w charakterze rasy? Oczywiście daleko jest od czasów Chat-Noiru, „bohaterskiego” niejako okresu piosenki, kiedy to tyle elementów złożyło się na jej wybuch. I formy ludowładztwa, tyle przedstawiające tragikomicznych kontrastów między ideami a ich ucieleśnieniem; i pierwsze pomruki nadciągającego nowego „ludu”; i zawód na republice, która nie uleczyła ran społecznych; i protest artysty przeciw pospolitości i obłudzie życia, i niezapominajki sentymentalizmu wyrosłe nad rynsztokami olbrzymiego miasta, i powiew od pól prowincji, skąd przybył do Paryża niejeden z tych śpiewających głodomorów, — ileż nut, ileż tonów! I pierwszy raz zetknięcie artysty, cygana, anarchisty, który w małej sali na estradzie spotkał się oko w oko z arystokratą, z burżujem, ze światową lałą szukającą tam nowych dreszczyków, z dyplomatą lub zagranicznym księciem, — było w tym coś podniecającego, coś twórczego. To był okres niesłychanego bogactwa form, bujności; niezatarte wspomnienie dla tych, co ten okres przeżyli. Kiedy miałem zaszczyt przemawiać w Sorbonie, po mnie mówił René Doumic, stały sekretarz Akademii, uważany po trosze za mamuta. (W artykuliku pt. *Nieprawdopodobny wirtuoz*, Wiktor Snell pisał: „P. Boy rozbawił samego René Doumice: to mówi wszystko!”). Otóż przewodnim motywem przemówienia Doumice była — piosenka, były wspomnienia, gdy młodym chłopcem wymykał się do Chat-Noiru, gdzie na estradzie skandalizował publiczność niejeden z jego dzisiejszych kolegów-Akademików. Mówił Doumic o głębokim znaczeniu piosenki w życiu Francji, o poezji paryskiego bruku. To przemówienie reprezentanta Akademii stało się poniekąd sensacją naukowego Paryża. „Pan Boy przybył do nas, aby działać cudzy, powiedział w końcowej żartobliwej już apostrofie minister Marin; słyszeliśmy tu poważną *Revue des deux Mondes*, śpiewającą hymny na cześć Czarnego Kota; to się jeszcze nie zdarzyło”.

Tak więc, na samym wstępie, w najuroczystszych murach, zabrzmiało mi echo piosenki. Ale potem słyszałem je ciągle. Wszędzie spotykałem moich rówieśników, którzy, w tej samej epoce, gdy ja się wałęsałem po Paryżu, studiowali w Dzielnicy Łacińskiej i słuchali tych samych piosenek. Później, pożeniwszy się, zostawszy ojcami rodzin, zamknęli po trosze na kłódkę te studenckie przeżycia, jak czyni zazwyczaj Francuz, który staje się innym człowiekiem, skoro się „ustali”; ale jakże one, te drzemające wspomnienia, są żywe! W jednym domu gospodarz, rozgrzany tymi wspominkami, ożywił się do tego stopnia, że zaczął przy obiedzie śpiewać dziesięcioma głosami, udając dawnych szansonierów; służąca Alzatka, która go znała jako poważnego człowieka, zaśmiewała się na ten widok.

Kiedy przybyłem do Colmar, prefekt wydał na moją cześć przyjęcie. I co za przyjęcie! Czerwony dywan na schodach aż na ulicę: „to bywało tylko dla marszałka Focha i dla prezydenta republiki”, mówią mi zdziwieni tą pompą colmarczycy. Tak w Alzacji cenią sobie przyjaźń Polski. Sala przebrana kwiatami, muzyka gra „Z dymem pożarów”, całe miasto defiluje przede mną, a ja robię<sup>11</sup> łaskawie udzielnego księcia. Bardzo mi z tym było do twarzy. W rozmowie sympatyczny prefekt zagaduje mnie:

<sup>11</sup>robić księcia — udawać księcia, grać rolę księcia (kalka składniowa z fr.). [przypis edytorski]

- Pan studiował w Paryżu?
- Studiował... to za wiele powiedziane!
- Zdaje się, że pan bywał w Noctambules...
- A, co to, to fakt...

Tuśmy się spotkali. Okazało się, że prefekt bywał tam pilnie w tych samych latach, słuchał tych samych piosenek, umie jeszcze wszystkie na pamięć. Usuwamy się dyskretnie za krzewy i zaczynamy podśpiewywać jeden drugiemu do ucha *Chanson d'antan* Montoi i inne po kolei. Zapominamy o gościach. Prefekt ma ładny tenorowy głosik, robię mu komplement, że i on sam pewnie śpiewa. — Ach nie, odpowiada, podczas wojny gazy zniszczyły mi głos...

Zapewne to intermezzo sprawiło, iż prefekt w mowie swojej podnosił głównie zasługi moje jako piosenkarza, zakończył zaś okrzykiem na cześć Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Ale zwłaszcza utkwiła mi w pamięci jedna scena, jak gdyby skomponowana do dramatu. W parę dni po moim występie otrzymałem list podpisany: „hrabia de L...” Hrabia prosił mnie o naznaczenie godziny lub zajście do niego w pewnym interesie literackim. Dość długo mieszkalem w Galicji, aby się nauczyć szanować hrabiów; nie chcąc być przy tym skrępowany godziną, odpisuję, że zajdę sam do hrabiego. Idę pod wskazany adres: skromny dom, oficyna, tylne schody, na drzwiach tabliczka z napisem: „Lekcje śpiewu”. Myślałem, że się omylił, ale pytam o hrabiego de L... Starszy pan, który mi otworzył, powiada: Tak, to ja. Mam przed sobą typ w rodzaju pana Pobratyńskiego z *Dziejów Grzechu*, rasowa piękna fizjonomia, wielka dbałość o siebie przy widocznym ubóstwie, twarz starannie ogolona, piękny staroświecki wąs.

- Pan miał do mnie interes, pytam. — Tak.

Oto jaki interes. Hrabia miał siostrę, znaną pisarkę z pseudonimem Champol, pisywała cenione przed ćwierćwiekiem powieści dla młodych panien; jedna z tych powieści dostała nawet *prix Monthyon* (nagroda cnoty).

- Czy pan nie zechciałby przetłumaczyć paru z nich i znaleźć w Polsce wydawcy?

Z trudem wstrzymuję się od śmiechu; tłumaczę się, że mam inny zakres działania, jestem bardzo zajęty... Przez cały ten czas, głusząc naszą rozmowę, dochodzą z drugiego pokoju namiętne tony piosenki; raz po raz wracają słowa *tendresse-caresse-maitresse-ivresse-sans cesse*<sup>12</sup> — klasyczne rymy wybuchów lirycznych z *café-concert*. Oryginalna lekcja śpiewu! Gospodarz widzi zapytanie w moich oczach.

— Tak, to żona moja daje lekcje, przygotowuje młodych adeptów do *café-concert*, do kabaretów... Także amatorów... Trzeba sobie pomagać w życiu... Ale ja powiem, żeby przerwali lekcję...

- Ależ nie, proszę pana, ja to pasjami lubię, ja też byłem piosenkarzem...

Na to hrabia ożywia się, machinalnym gestem odsuwa na bok nagrodzone za cnotę płody siostrzane, wypytuje mnie, opowiada... Inny człowiek! Pokazuje się, że ma przeszłość piosenkarską, żył blisko z całą gwardią Chat-Noiru; nie występował sam, ale dostarczał piosenek śpiewakom i *café-concert* (zapewne z prawem autorstwa, bo taki jest los tych „murzynów” paryskiego rynku). Daje po trosze lekcje z żoną. Trzeba sobie pomagać... Nie wiodło mu się w życiu. Zrobił wynalazek: jakiś niesłychanie oszczędny sposób drukowania nut; nie wziął patentu, wynalazek ściągnął mu jego pomocnik i zrobił na nim majątek. Teraz hrabia ma nowy wynalazek, ale go już nie zdradzi nikomu. Nie wiodło mu się, stanowczo. Napisał operetkę, *L'enclos de Ninon* (gra słów z Ninon de Lenclos), nigdzie mu jej nie chcą wystawić, na to trzeba stosunków. Gdyby tak w Polsce?... Powiadają mi, że to nie jest mój dział, ale że znam sporo osób, może by mi przysłał egzemplarz. Ma tylko jeden; przepisywanie to kosztowna rzecz. Ale może mi coś przegra. Wymawiam się, że chyba innym razem, spieszę się... — Niechże pan chwilę zostanie, przedstawię pana mojej żonie.

Wchodzimy do klasy śpiewu; na znak męża, żona wyprawia ucznia, jakiegoś młodego niezgułę, i oto w nauczycielce, która uczyła za ścianą tych płochonamiętnych akordów i poprawiała ich ekspresję, widzę zgrzybiałą niemal staruszkę... — Pozwól, że ci przed-

<sup>12</sup>*tendresse, caresse, maitresse, ivresse, sans cesse* (fr.) — czułość, pieśczość, dama serca, upojenie, nieustająco. [przypis edytorski]



stawię, mówi dwornie hrabia do hrabiny, pan jest z Polski, z Warszawy, krytyk teatralny, piosenkarz, kolega... Przegramy panu coś z *L'enclos de Ninon*.

I Filemon i Baucis zasiadają przy pianinie i za chwilę dwa zwiędłe, ale czyste głosy wyciągają duet miłosny.

Jakże daleko odbiegliśmy od początku wizyty: hrabia, starzec, wynalazca, siostra, nagroda cnoty, i, w rezultacie — piosenka. Sorbona, Akademia, Alzacja, prefektura — piosenka. Wszzechwładna, tryumfująca piosenka. Zwyciężyłeś, Czarny Kocie!

## „Ksenofobia”

W ostatnim felietonie mówiłem o piosence. Otóż, od wielu lat mam zwyczaj, że kiedy przyjadę do Paryża, pierwszego wieczora idę na Montmartre na piosenki. W ten sposób od razu dowiaduję się, o czym Paryż śpiewa, czym się interesuje, z czego się śmieje. Jako informacja jest to co najmniej równie pouczające, co czytanie dzienników, a przyjemniejsze.

Są tematy, które mają długie życie. Pewne gusty popularnego kuplecisty Mayola<sup>13</sup> oraz banalniesze amory Cécile Sorel<sup>14</sup> dostarczają tematu żartom już blisko od ćwierć wieku, tak jak dawniej wstręt do mydła ministra Pelletan albo obrzezana galijskość Artura Meyera. Ale większość piosenek pulsuje rytmem chwili.

Kiedy byłem w Paryżu ostatni raz przed półtora rokiem, śpiewano wszędzie o najeździe cudzoziemców. Nuta była ostra, niechętna, niezwykle nawet zjadliwa. Obecnie, wciąż cudzoziemcy są przedmiotem conceptów, ale inaczej: paryżanin cieszy się z ich dezercji. Nareszcie jesteśmy u siebie, dworuje piosenka, nie oglądamy na każdym kroku olbrzymich *autocarów* naładowanych angielskimi i amerykańskimi gębami barbarzyńców objeżdżających stolicę w osiem dni i mających złudzenie, że poznali Paryż. „Kiedyś (śpiewa któryś z piosenkarzy) włamali się do mnie bandyci, policja przytrzymała ich: to byli Francuzi! Byłbym ich uściskał: nareszcie swoi, nareszcie Francuzi, a nie jacyś Polacy lub Czechosłowacy. Zaczynamy znów być u siebie...”

Ta nuta wrogości wobec elementu, który stanowi tak poważną cyfrę w bilansie Paryża, jest dosyć zastanawiająca. Wszak nie kto inny jak cudzoziemcy tworzą bulwary, owe słynne bulwary Paryża, oni niemal utrzymują teatry, wykupują magazyny, z całego świata zwożą złoto, dolary, funty, biorąc w zamian gust, smak, powietrze Paryża. Czy może istnieć korzystniejszy przedmiot eksportu?

Musieli się Paryżowi cudzoziemcy dobrze dać we znaki, aby do tego doprowadzić. Zaczęli działać Francuzom na nerwy. Po pierwsze ilość: było ich za dużo. I jakość. Dawniej przyjazd do Paryża wymagał pewnego, można rzec, cenzusu. Po wojnie zaczęła się inwazja międzynarodowego chamstwa, prepotencja dolara, bezceremonialna, grożąca wprost naruszeniem charakteru miasta. Nawet sama piosenka francuska uczuła się zagrożona, słychać było protesty, że dławi ją i wypiera dzicz obcych melodii.

Następnie drożyzna. Szczególny paradoks. Wszak cudzoziemcy przywożą pieniądze, Francji zaś potrzeba pieniędzy. Ale kto inny na tym zarabiał, a kto inny tracił. Zarabiał kupiec, hotelarz, cierpiał zaś od drożyzny urzędnik, literat, w ogóle ten, którego dochody nie rosły w stosunku do wzrostu cen życia. Może zresztą mieszano przyczynę i objaw: mieszano dewaluację franka ze wzrostem drożyzny, którą przypisywano cudzoziemcom. Ale co mnie to zresztą obchodzi.

Obchodzi mnie co innego, mianowicie uderza mnie inny jeszcze paradoks. Oto, w największym przypływie „ksenofobii” powstaje, jak pisałem o tym w jednym z poprzednich felietonów, wielka międzynarodowa fundacja Francuza — Miasto Uniwersyteckie — mające ułatwić przyływ kształcącej się młodzieży wszystkich krajów. Oto w tych samych latach kielkuje idea międzynarodowego teatru w Paryżu, rzucona przez Gemiera, Rivoire’a; w czasie największej ksenofobii cudzoziemiec szukający w Paryżu nauki może być pewny życzliwego przyjęcia i pomocy. I oto szlachetny rys Paryża; niechęć

<sup>13</sup>*Félix Mayol* (1872–1941) — piosenkarz, autor i wykonawca setek piosenek; niepotwierdzone, ale powracające plotki dotyczyły jego orientacji seksualnej. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*Cécile Sorel* (1873–1966) — właśc. Cécile Émilie Seurre, aktorka fr., wieloletnia narzeczona amerykańskiego milionera Witneya Warrena, następnie żona aktora Guillaume’a de Sax (bratanka pisarki, księżnej de Ségur), to małżeństwo było wyjątkowo nieudane i dostarczało ciągłych tematów dla plotkarzy. [przypis edytorski]

do chamstwa, choćby przynosiło zarobki, otwarte ramiona dla każdego, kto przybywa czerpać z krynicy ducha.

Tkwi to w najgłębszych tradycjach tej stolicy świata. Bo Paryż zapierający się swego międzynarodowego — w szlachetnym znaczeniu słowa — charakteru byłby zaprzeczeniem samego siebie, przestałby być Paryżem. I, powiedzmy to, byłby niewdzięczny. Ba, posuńmy się jeszcze dalej: czy Paryż może się uważać za miasto wyłącznie francuskie, czy ma prawo uważać cudzoziemców za intruzów? Czy, od wieku z górą, nie tworzyli oni wspólnie z Francuzami tego miasta, czy nie uczynili go po trosze tym, czym ono jest? W każdym pokoleniu dążyła do Paryża elita wszystkich narodów, mniej lub więcej długi pobyt w Paryżu był pielgrzymką każdego oświeconego człowieka. Dążyli tam jak do Mekki artyści. Chronili się najszlachetniejsi wygnańcy i ci, którym było za ciasno gdzie indziej. I ludzie ci nie byli tylko gośćmi Paryża, oni byli poniekąd jego współtwórcami, każdy z nich coś wnosił, albo zbiorowo, albo indywidualnie. Te masy najlepszych cudzoziemców wlewały swą sumę inteligencji, myśli, w potężny nurt myśli Paryża: to spotkanie wszystkich wiar, wszystkich idei, wszystkich temperamentów, dawało Paryżowi z biegiem wieków jego wszechludzką, to, co czyni go różnym od innych miast. Dzięki temu napływowi Francuz, nieskłonny do opuszczania kraju i dość oporny na obce klimaty duchowe, w Paryżu znajduje wszystko; paryżanin, nie ruszając się z domu, może mieć szerokość pojęć i doświadczeń podróżnika, bo w Paryżu ma w streszczeniu cały świat. Zwłaszcza artyści, którzy najbardziej mieszają się z sobą. Czy inaczej byłby do pomyślenia uniwersalizm *Komedii Ludzkiej* Balzaka? Raz po raz w jego dedykacjach, w jego korespondencji, odbija się styczność z cudzoziemcami: to ma u siebie na obiedzie Mickiewicza, to styka się z Heinem, z Hoene-Wrońskim. Bo to wszystko to są paryżanie: i Mickiewicz Adam, i po nim Władysław, i Chopin, i Liszt, i Heine, i cesarzowa Eugenia z Offenbachem, bez których nie byłoby stylu drugiego Cesarstwa, i po trosze Turgeniew, i Rilke...

Niedawno czytałem nową książkę Francisa Carco: *De Monmartre au quartier latin*. Czy może być tytuł rdzennie francuski? Są to wspomnienia z lat cyganerii paryskiej, rozdział z życia artystycznego Paryża. I jakież nazwiska powtarzają się tam bodaj czy nie częściej od francuskich? Utrillo, Modigliani, Picasso, Apollinaire, Moreas... Bo Polak Apollinaire (Kostrowicki) i Grek Moreas byli wszak przez wiele lat wodzami młodej plejady literackiej we Francji, tak jak jednym z tych, którzy najgłębiej wniknęli w ducha Pascala i Montaigne'a jest Słowianin — Słowianin każdym włoskiem swojej płowej brody — dzisiejszy nasz gość w Warszawie, Fortunat Strowski! Strawiński, Niżyński, Bakst, — to też Paryż: dojrzewają w Paryżu, czerpią zeń i dają mu wzajem siebie, zapładniając twórczość młodego Francuza Cocteau, jak niegdyś włoscy aktorzy stworzyli swoim teatrem jednego z najbardziej francuskich pisarzy: Marivaux. Aby oczyścić Paryż z cudzoziemców, trzeba by zacząć operację od bardzo, bardzo dawna. I z pewnością byłaby szkoda.

A kobiety! od księżnej Belgiojoso do Raquel Meller, od Curie-Skłodowskiej do Stasi Napierkowskiej, od Marii Baszkirceff aż do jakiejś bezimiennej studentki nihilistki! A ta masa kobiet, ładnych, zdolnych, niespokojnych, interesujących, które ciągną nibyśmy do Paryża opalać się w jego ogniu i zostawiać puszek swej egzotyczności, inności, tajemnicy! Cóż za potężny antydot na ten pierwiastek „bourgeois”, który tak silnie tkwi w rdzennie francuskim życiu. Dość słyszałem zwierzeń kobiecych na ten temat, aby wiedzieć, jak potężnym „dopingiem” staje się dla Francuza zetknięcie z cudzoziemką, na ile rzeczy otwiera mu oczy, słowem jak go *paryżanizuje*. Może ten czysto francuski Paryż byłby inny; ja go kocham takim, jakim jest. I wierzę w siłę twórczą rasy francuskiej, że zawsze potrafi zorganizować i wchłonąć tę masę obcych a tak szacownych elementów.

Cóż na to poradzić, że, mimo wszystkich tych dąsów, każdy czuje się w Paryżu tak dobrze, tak u siebie. Miałem tam niedawno drobny przykład, do jakiego stopnia wytwarza się wręcz nowe poczucie narodowości. Byłem z wizytą u moich starych przyjaciół. On jest wnukiem emigranta, synem artysty-paryżanina, sam urodzony w Paryżu, mówiący bardzo kulawo po polsku, ale zawzięty Polak. Żona jego krakowianka; dzieci dorosłe nie mówią wcale po polsku, Francuzi. Jest trochę gości, prawnuk Wiktora Hugo, kilka pań. Rozmowa toczy się o inwazji cudzoziemskiej, wciąż aktualny temat. Jakaś Francuzka zwierza się, że jej nic nie szkodzą cudzoziemcy, z wyjątkiem Anglików i Włochów,

tych nie może strawić. Na to pani domu: „A ja dość lubię cudzoziemców, bawią mnie”. Uśmiechnąłem się mimo woli na te słowa, które wyrzekła bez najmniejszego poczucia, że przede wszystkim ona sama jest cudzoziemką. Zdziwiłaby się, gdyby jej to powiedzieć. Ona cudzoziemką? Alboż nie jest od dawna paryżanką? Trzeba się z tym pogodzić: paryżanin, to prawie narodowość. I tak, jak Ameryka zasilala się przez długie lata energią szumowin całej Europy i przerobiła je na dumną Amerykę, i wyszło jej to na zdrowie, tak Paryż zasila się wciąż okazałą sumą inteligencji, talentu, kapitału nerwowego, dożożonego ze wszystkich krajów. I w tym także tkwi magia tego słowa: Paryż!

## PREMIERY

Pierwszy raz obecnie byłem w Paryżu na premierach. Dostać się na nie jest dla zwykłego śmiertelnika niepodobniństwem, biletów nie sprzedają, małe przeważnie teatrzyki zaledwie starczą na pomieszczenie prasy i tych, co mają jakieś solidne prawa do uczestnictwa w tych nowaliach. Ale znalazłem osobę, która, jak Beatricze Danta, była moją przewodniczką po tym paryskim piekle: to pani Lubelska, młoda wdowa po ulubieńcu Warszawy, śpiewaku dawnego Momusa. Jest reprezentantką teatrów Szyfmana w Paryżu, z tego tytułu nie opuszcza żadnej premiery.

Bo publiczność warszawska ani wie, jak o niej myślą i jak pracują dla jej dobra! Być reprezentantką teatrów warszawskich w Paryżu, to nie lada zadanie. Premiery rozmnożyły się tak, że często nie starczy dla nich wieczorów; bywają dni, że premiera jest po południu i wieczór: biedny krytyk spędza czas w teatrze od wpół do czwartej z przerwą obiadową do dwunastej i pierwszej w nocy! Ale czymże jest praca krytyka? Co napisze, to święte: papier jest cierpliwy. Co innego reprezentant: on musi osądzić rzecz pod kątem powodzenia, rzeczy najkapryśniejszej w świecie; i to powodzenia warszawskiego; doradzić rzecz albo odradzić, telegrafować swoją recenzję w dziesięciu słowach; trzeba decydować błyskawicznie, bo konkurent nie zasypia sprawy.

W ogóle nie ma trudniejszej rzeczy niż wróżby powodzenia w teatrze. Znana jest historia, że w czasie prób z *Cyrana de Bergerac* w Paryżu próbowano równocześnie inną sztukę, aby mieć deskę ratunku na wypadek przewidywanej przez wszystkich klapy. Są tu i sprawy lokalne, związane z aktorem, z momentem, nie wiadomo z czym. *Świt, dzień i noc*, który tu obchodzi za parę dni swój jubileusz (250 razy!), nigdzie podobno nie miał powodzenia poza Warszawą. Sam się przekonałem: słuchać sztuki w Paryżu pod kątem jej sukcesu u nas to rzecz bardzo trudna. Inna atmosfera, inny rodzaj gry, inny wreszcie stosunek do teatru, wszystko to sprawia nieraz, że się człowiek doskonale bawi pod kątem paryskim, a równocześnie ziewa lub krzywi się pod kątem warszawskim. Męczące rozdwojenie.

Sama p. Lubelska to bardzo interesujące zjawisko, żywy przyczynek do etnografii tego Paryża, o którym mówiłem w poprzednim felietonie: skojarzenie Polki i paryżanki, cyganerii i światowości, wreszcie — o biada! — medycyny (jest lekarką) i teatru. Samo jej mieszkanie jest streszczeniem tych paryskich kontrastów. Mansarda, ale mansarda przy... boulevard Madeleine, która pod ręką krakowianina architekta Dessauera zmieniła się na najwykwintniejsze gniazdko kobiece. Z terasy na szczycie ogromnego domu oko ogarnia ten najbardziej paryski punkt Paryża. Stamtąd lekka, strojna, sfruwa do teatru, rzekłbyś motyl, jętka, ważka bujająca nad wodą, a tymczasem to jest rzecz istotnie najbardziej ważka pod słońcem, kasa Szyfmana. W antrakcie śmieje się, flirtuje, strzyże okiem, a w głowie ciągle waży Hamletowe być albo nie być: „Nie... chyba nie... to nie dla nas... A nuż... A nuż schwyli Ćwiklińska albo Chaberski i będzie powodzenie?... Szyfman mi głowę urwie... A jeśli go namówię i będzie do niczego itd... Z premiery, nucąc piosenkę gryzетки „*on mangera, chérie, une choucroute garnie*”, pomyka jeszcze do wykwintnie cygańskiej knajpki, gdzie co drugi stolik, to jakaś modna aktorka ze swoim picusiem (używam tego słowa, aby ochronić swoje prawo własności i ubezpieczyć się od przedruku w *Czasie*, ale i to nie pomoże, zmieniają, bestie, picuś na „wielbicieli” i przedrukują!), a na drugi dzień rano już jest w białym kitlu przy pracy w szpitalu, gdzie prowadzi szkołę pielęgniarek. A życie towarzyskie, a życie osobiste? Toteż ta miła koleżanka jest to osoba najbardziej niewyspana, jaką kiedykolwiek widziałem.

Teatr

Oto Paryż! Praca, wytężona praca, pod pozorami lekkości, zabawy. Wszędzie ma się w Paryżu to uczucie intensywności życia, wycisnięcia wszystkich sił. Tyle tu możliwości, tyle rzeczy zależy od wysiłku, jaki się w nie włoży, tyle zresztą wymaga go samo utrzymanie się na fali, że w końcu to wyciska człowieka całego. I co za charakterów trzeba, aby się bronić od pokus, od rozproszenia, od Paryża wreszcie, który tak łatwo sam mógłby wypełnić życie. — „To mój siedemnasty bankiet w tym miesiącu, skarżył mi się raz przewodniczący stołu, gdym zasiadł po jego prawicy. — Trudno jest w Paryżu pracować, żali się poważny członek Instytutu, wielu z nas pisze głównie na wakacjach”...

Zmęczenie. To zmęczenie czyta się we wszystkich rysach, na twarzach premierowej publiczności, tego małego świątka, który spotyka się w teatrze po kilka razy na tydzień, w cieniu nieodzownej brody Tristana Bernard rozkładającej się na froncie łoża. Ale nie nudzą się. Pracują, wciąż pracują. W antrakcie ma się wrażenie, że nikt nie mówi do nikogo słowa na wiatr, że każda rozmowa jest wyzyskaniem okazji, załatwieniem interesu, przypomnieniem się, rozszerzeniem sfery stosunków. Ten wart jest uśmiechu, ten komplementu, ten minuty, ten pięciu minut... Mam zabawne potwierdzenie tego wrażenia. Siedzę z panią L. w *Mathurins* w pierwszym rzędzie foteli (tak respektują w Paryżu reprezentantkę Szyfmana!), za nami pan Bloch, potężny szef agencji teatralnej. Sąsiadka moja, rozmawiając z nim, przedstawia mnie przez grzeczność, na co p. Bloch powiada mi z miejsca, abym przyszedł do niego przed dziesiątą rano, bo później jest bardzo zajęty. Patrząc na niego ze zdziwieniem, bo nie mam w ogóle do niego żadnego interesu; to mu widocznie nie przyszło na myśl, żeby ktoś, kogo mu przedstawiają, nie miał do niego interesu...

Interes, Grzeczność

I może to przepracowanie sprawia, że bawią się tak łatwo i chętnie. Uderzającym jest życzliwy nastrój na premierze; po prostu teatr amatorski, gdzie wszystko bawi, wszystko jest caca. Sztuczka, która by u nas padła jak długa ze skandalem, tam mija wśród oklasków, w atmosferze powodzenia, które zresztą nie często ratyfikuje płacąca publiczność. Ale bo ci Paryżanie lubią teatr jako zabawę towarzyską, jako spędzenie wieczoru, lubią swoich aktorów, przede wszystkim zaś lubią swój język, smakują go jak swoje wino. U nas słucha się sztuki „na treść”, u nich niejako na melodię. Każda replika opracowana jest jak fraza muzyczna. Kilka dobrych powiedzeń dobrze rzuconych przez aktorów (a jak ci aktorzy umieją mówić!) stanowi o powodzeniu aktu. Dobrze powiedziane „*je m'en fous!*”<sup>15</sup> zawsze rozlewa miłe ciepło po sali. „...*disait très bien le mot*”<sup>16</sup>, oto określenie tak często spotykane w literaturze francuskiego renesansu. Radość słowa! Ta sama, która kipi u Rabelais'go w piętrzeniu słów i pojeniu się samym ich dźwiękiem, która tętni w swadzie jarmarcznego przekupnia i wywoływacza, i — z drugiej strony — ta, która stworzyła najwykwintniejszy salon i najcelniejszą sztukę rozmawiania, ta sama *radość słowa* stanowi istotę francuskiego teatru. Dlatego tak częste nieporozumienia, kiedy go przenieść na inny grunt, w inną atmosferę, inny język, inny styl gry. I często po premierze jakiejś wcale dowcipnej i zabawnej sztuki, kiedy towarzyska moja, pragnąc upewnić swoje wrażenie zwracała się do mnie pytająco: „Jak pan myśli, czy to *zrobiliby* w Warszawie?”, odpowiadałem: „Zrobiliby... ale klapę”.

Słowo, Język

Nie mówię tu oczywiście o pełnym życiu francuskiego teatru, którego puls jest obecnie bardzo silny: dość wspomnieć, iż na wczorajszej swej prelekcji w Warszawie prof. Strowski zwierzył się, że w ciągu dwóch lat był obecny jako recenzent na *trzystu* francuskich premierach! Mówię po prostu o kilku sztukach lżejszego autoramentu, które miałem sposobność oglądać. I uważałem, że to wino, które podają w modnych teatrzykach, zaczyna być wcale cienkie. To prosta kwestia arytmetyki; z wzrostem miasta rośnie ilość teatrów; ale nigdzie nie jest powiedziane, że w tym samym stosunku ma wzrastać ilość talentów pisarskich. A im sztuki niklejsze, tym szybciej schodzą z afisza, ergo tym więcej ich potrzeba, więc są słabsze: błędne koło. I nie ma na to innej rady, niż filozofia, którą ma premierowy Paryż: pogodzić się z tym, że Molier i Beaumarchais nie rodzą się co miesiąc, teatry zaś muszą grać co dzień; przyjmować, co dają, jako powszednią zabawę, a kiedy, od czasu do czasu, trafi się jaka tęga sztuka, uważać ją za hojny naddatek, wygraną premiówki. Nigdy pono inaczej nie było i nie będzie, a jeżeli śledziennicy, gromiąc

Teatr, Sztuka

<sup>15</sup>*je m'en fous!* (fr.) — nie dbam o to; gwizdź na to. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>...*disait très bien le mot* (fr.) — tu: świetnie powiedziane. [przypis edytorski]

teatr *dzisiejszy*, mogą mu przeciwstawić blask dawnych epok, to dlatego, że z owych epok widzimy tylko ich odświętność, z naszej zaś — jej codzienność.

## „Beduk”

Jednego wieczoru byłem w naszej ambasadzie na wielkim dorocznym raucie dla prezydenta Doumergue. Było z osiemset osób, ścisk jak w kościele, zwłaszcza gdy wszystko runęło do bufetu. Lubię wypić w ambasadzie szklaneczkę szampana, mam wtedy uczucie, że jestem światowcem, co było moim marzeniem w dzieciństwie; zacząłem się tedy posuwać w tę stronę, ale uwięzłem w tłoku. Kiedym tak tkwił bezradnie, przeciska się ku mnie niezajomy jegomość, Francuz, i wymawiając słowo „Beduk” podaje mi bilet.

Rozśmiałem się przyjaźnie do niego i po chwili gawędziliśmy jak starzy znajomi; więcej jeszcze, jak para masonów. Bo to jest masoneria, a bilet wyglądał tak<sup>17</sup>:

Te litery znaczą po wschodniemu *Beduk*. Otóż, Beduk, jest to potężny talizman, w który święcie wierzył Balzac; wspomina o nim parę razy w listach do pani Hańskiej. Pieczętkę tę otrzymał w darze od głośnego orientalisty, barona Hammera-Purgstall. Obecnie przypomniał ten szczegół Bouteron, wydając w małej wytwornej plakietce monografię „Beduka”, i prawowierni balzakiści pozdrawiają się tym hasłem.

Cóż za miły, kochany świat, ci balzakiści! Pisałem o nich już parę razy, teraz zbliżyłem się z nimi jeszcze. Co za szlachetny sposób ulokowania różnych manii! Istnieje na przykład osobnik, który się zajmuje tylko mieszkaniem Balzaka. Taki potrafił człowieka zaciągnąć w nocy w odległy kąt Paryża i z pietyzmem pokazać miejsce, gdzie była ulica, przy której stał dom, w którym mieszkał przez jakiś czas Balzak. Nie ma już ulicy, nie ma od dawna domu, ale dla niego są, żyją. Nieraz mania taka, wyrosła z kultu Balzaka, emancypuje się, zaczyna istnieć sama dla siebie. Kiedy raz wychodziliśmy z zebrania takich fanatycznych balzakistów, bierze mnie pod ramię prawdziwy znawca samego Balzaka i szepce mi poufnie, wskazując gromadkę wiernych: „Czy pan myśli, że oni kiedy czytają Balzaka? Ani mow!”

A jest co czytać! I samego Balzaka i około Balzaka. Wielkie nowe wydanie (Longnon i Bouteron) dobiega końca (Tom XXIX). A ile „balzakianów” przyniósł ostatni okres! Wydano wspaniale (po raz pierwszy) młodzieńczą tragedię Balzaka *Cromwell*, tę, po której wysłuchaniu areopag domowy orzekł, że powinien wszystkiemu się poświęcić, tylko nie literaturze. Wydał ją p. Walter Scott Hastings, Anglik, jako facsimile rękopisu przepisane ręką matki Balzaka. Wydano na świeżo *Contes bruns*, a raczej wyluskano to, co było w nich udziałem Balzaka. Wcześniej nieco ukazała się książka p. René Beniamin *La vie prodigieuse d'Honoré de Balzac*, ujmująca w powieściową formę patetyczne dzieje twórcy *Komedii Ludzkiej*. Jest to rodzaj, który w ostatnich czasach stał się modny, powstają całe biblioteki takich powieściowych biografii. Autor, przyswoiwszy sobie całą erudycję, strawiwszy wszystkie dokumenty, stara się wpuścić w nie prąd życia. Rozdziały, w których Balzac, nawiedziony swoim geniuszem, poczyną w sobie olbrzymią koncepcję *Komedii Ludzkiej*, lub kiedy zagrzebany na wsi mocuje się z wizją konającego *Ojca Goriot*, mają siłę emocji, która się udziela.

Wojowano w ostatnich czasach wiele o panią Hańską. P. Karol Léger wydał książkę pt. *Eve de Balzac*, w której, wbrew wymownej apologii Marcelgo Bouterona, jeszcze raz przypuszcza atak. Wyznając, że ten system aktów oskarżenia, te sądy nad kobietą na podstawie jakże niepewnych dokumentów, wydają mi się trochę niesmaczne. I wiecznie to samo w kółko! Ciągłe wraca ten ustęp z *Choses vues* Wiktora Hugo o śmierci Balzaka, przy której nie było jego żony. Inni znów twierdzą, że wyszła na tę chwilę właśnie dlatego, że przyszedł Wiktor Hugo, który jej nie lubił i którego ona nie lubiła. Inni mówią, że strudzona czuwaniem mogła iść odpocząć chwilę. A może poszła robić siusiu? I to się nazywa historia literatury.

Babską co się zowie (nie kobiecą) książkę o Balzaku napisała jakaś angielska miss, Juanita Helm Floyd, pt. *Kobiety w życiu Balzaka*, książkę powierzchowną, pensjonarską: przełożyła ją i opatrzyła wstępem księżna Katarzyna Radziwiłłowa, bratanica pani Hańskiej, i dołączyła do niej owe listy pani Hańskiej do brata, wydane w tak nieszczęśliwej

<sup>17</sup>bilet wyglądał tak — tu w wydaniu źródłowym zamieszczono obrazek, przedstawiający w niewyraźny sposób kilka liter arabskich w otoczeniu kwiatów. [przypis edytorski]

formie w *Revue hebdomadaire* przed dwoma laty. Listy te, które u nas obudziły podejrzenia p. L. Okręta, zaatakował świeżo bardzo gwałtownie Brousson (autor *Anatola France w pantoflach*) w artykułach pt. *Ciemna sprawa (Nouvelles littéraires)*, gdzie kresli dość niepoehlebny portret samej ich wydawczynie. Uczony profesor Sorbony Baldensperger wydał książkę *Orientations étrangères chez Honoré de Balzac*, a młoda miss Preston z Chicago książkę o metodzie pisarskiej Balzaka. W Niemczech Bettelheim grubą monografię. Słowem, ruch w interesie.

Znalazłem się tedy znów w klanie balzakistów. Ba, jako jubilat! P. Surville-Balzac asystował mi na estradzie w Sorbonie. W parę dni potem zwołano do domu Balzaka, wiernych aby mnie przyjąć. Jest to ów mały domek przy ulicy Raynouard, w Passy. Gdy Balzac tam mieszkał, było to het, za Paryżem; w którymś z listów opisuje Balzac, jak raz, zapóźniwszy się w Paryżu i nie znalazłszy dorożki, wędrował całą noc do siebie z powodu gołoledzi. Obecnie, Paryż od dawna wchłonął już Passy; wyrosły dokoła wysokie domy, ulice, ale ten mały domek pozostał niby wyspa przeszłości w cieniu drzew. Dzielnica dokoła podniosła się tak, że teraz do domku Balzaka schodzi się w dół — po schodach. Tworzy się tam muzeum balzakowskie, gromadzi się pamiątki, bibliotekę. Kiedy byłem w Paryżu przed dwoma laty, zaalarmowała balzakistów wieść o niebezpieczeństwie tego domku, zagrożonego młotem spekulacji budowlanej. Powstał popłoch, gotowano apel do balzakistów wszystkich krajów. Wszystko załatwiło się bardzo szczęśliwie: znalazł się Amerykanin, który domek wykupił i ofiarował „wiernym”. Bodaj to mieć takie koneksje. Zapewne powiedziano mu po prostu: *Beduk!*

W tym domku tedy odbywa się serdeczna, w pół żartobliwa, a jakże wzruszająca dla mnie ceremonia. Posadzono mnie w fotelu Balzaka, przemówił p. Surville-Balzac, cioteczny wnuk pisarza, przyjmując mnie niejako do rodziny, po czym jeszcze raz obejrzeliliśmy w skupieniu te pamiątki, obeszliliśmy te pokoje, gdzie, schroniwszy się tam po katastrofie (której z rzędu!) swego życia, Balzac pograżył się w wytężonej pracy, budując w myślach przyszłość dla ukochanej kobiety, z którą miał się połączyć aż w wilię śmierci. Stamtąd szły te gorączkowe, serdeczne, pełne ubóstwienia listy — do Polki.

Duszą tego klanu jest nieoceniony Marceli Bouteron, też „maniak” Balzaka, ale zawsze pod kątem jego dzieła. Czuł jego rękę niemal w każdej nowej pracy, która się ukaże; to pisze do niej przedmowę, to autor mu dziękuje za pomoc i wskazówki. Bouteron od dawna projektuje podróż do Polski, do której pała szczerą sympatią, ale zawsze coś staje na przeszkodzie. W ostatnich czasach rozrywany był jako prelegent, gdy z okazji stulecia Romantyzmu mówił o „Muzach Romantycznych” (niebawem omówię jego śliczną książkę pod tym tytułem) lub o „Tancerkach Romantycznych”. Może na przyszły rok uda się go ściągnąć do nas z odczytami.

I oto znów przyczynek do psychologii Paryża. Mówiłem w jednym z felietonów o „stosunkach” i ich rozmaitym charakterze. Otóż trudno opisać serdeczność, jakiej doznałem od Bouterona w ostatniej okazji. Przejęty był moim występem w Sorbonie bardziej ode mnie, miał za mnie treść, a wciąż tłumaczył mi, że bym się nic nie bał; co rano telefonował do mnie z zapytaniem „jak się czuję”, kiedy zaś nadszedł krytyczny wieczór, przyjechał po mnie niby sekundant przed pojedyńkiem, aby mi towarzyszyć i być ze mną do ostatniej chwili. Pierwszy uściskał mnie rozpromieniony. Potem robił mi reklamę, gdzie mógł, starał mi się o interviewy, pomieszczał artykuły w pismach. Wszystko to robił jeden z najbardziej zapracowanych ludzi w Paryżu, bibliotekarz Instytutu, który sam mi mówił, że kiedy ma pisać coś większego dla siebie, wstaje o trzeciej rano, aby mieć dłuższy oddech swobodnych godzin myśli. Dla brata nie mógłby zrobić więcej i serdeczniej ten człowiek, któremu jestem niczym poza tym, żeśmy się spotkali na gruncie wspólnej pasji. I oto sekret stosunków Paryża, najtrudniejszego, najobojętniejszego miasta w świecie, a które zmienia swą fizjognomię jakby czarami dla każdego, kto mu pokaże jakiś talizman. *Beduk!*

## TYPY I TYPKI

Znowu mam ochotę robić plotki! Tyle dni mówiłem o rzeczach poważnych! A gdzież robić plotki, jak nie w Paryżu, w tej kochanej kolonii polskiej, która ma tyle cech naszego

małego miasteczka? I to małe miasteczko, zaszczerpione na olbrzymiej stolicy, ma swój wdzięk. Ale o tym trzeba by mówić osobno, to za obszerny temat.

Na czym polega oryginalność figur spotykanych na obczyźnie? Może na tym samym, na czym polegała barwność dawnej szlacheckiej, na indywidualizmach niestartych w młynie społecznego życia? Może na przeroście fantazji w stosunku do rzeczywistości? Ale, powtarzam, to są szerokie tematy, dziś chcę tylko robić plotki.

Przysiadłem tedy jednego popołudnia u Webera. Terasa przepelniona, mi-carême<sup>18</sup>. Niepodobne to mi-carême do dawnego Paryża w owym „dniu szaleństwa”. Pamiętam dawniej bulwary zasypane grubą na parę cali warstwą confetti, jak śniegiem. Dziś confetti zabronione ze względów higienicznych, zapewne jakiś Knock znalazł na nich bakterie. Ale przede wszystkim zmieniła się psychika tłumu, zmieniły się jego zabawy. Przypadkowo byłem w Nizy w tłusty wtorek, w dzień słynnej „bitwy kwiatowej”. To corso kwiatowe, opisywane w tylu powieściach, w tylu korespondencjach, i które naiwni wyobrażają sobie jako cud świata, cóż za mizeria! Trudno o coś bardziej sennego, tandetnego, niż ta defilada wehikulów, której apatycznie przygląda się garstka gapiów. Weyssenhoff, piewca dawnej Riwiery, zapłakałby na ten widok. Bo istotnie, jakież ma dziś sens szal końca karnawału, kiedy nazajutrz ten sam dancing tak samo funkcjonuje w pierwszym dniu postu? „Szal” rozmiął się na drobne, wyładowuje się partiami cały rok, nie zagęszcza się w specjalne dni.

I te kostiumy, te przebierania, na Południu może jeszcze będące potrzebą rasową, w Paryżu już robią wrażenie martwej tradycji. Wchodzi do Webera paru młodych ludzi, przebranych za kobiety w jakimś fantastycznym stylu Pompadour, i pytają piskliwym głosem, gdzie jest toaleta dla dam. Ten i ów z publiczności śmieje się pobłaźliwie, ale nikt się tym naprawdę nie bawi.

Zaczyna padać deszcz, kapie mi z płótna na głowę, wstaję tedy i idę. Kiedy jestem na środku ulicy Royale, na wyspie chroniącej od automobilów, widzę, że ktoś mnie dogania. Jakaś czarno ubrana postać młodej kobiety, ani ładna, ani brzydka; wygląda trochę, jakby ją zęby bolały.

— *Est-ce monsieur Boy*<sup>19</sup>? mówi do mnie. — *Oui, madame*<sup>20</sup>, odpowiadam. — Ach, więc dobrze pana poznałam, ciągnie już po polsku. Nie mogłam sobie odmówić przyjemności zaczepienia pana. Byłam w Sorbonie, kiedy pan przemawiał — wie pan, mówiłam do pana X., że nie wierzę, aby była na sali choć jedna kobieta, która by się panu zaraz nie oddała...

Obiecujący początek, czekam co będzie dalej.

— Czy można pana odprowadzić parę kroków? — Proszę bardzo.

Rozmowa zawiązuje się dość mdło. — Pani stale mieszka w Paryżu? mówię, aby coś powiedzieć. — Tak, stale. Czy ja mogłabym mieszkać gdzie indziej? Wychowuję tutaj moje dziecko, że tak powiem, naturalne. Gdzież ja bym się z tym mogła podzić?

To „że tak powiem” ujmuje mnie za serce. Przeczuję parę chwil cichej zabawy, zaczynam bidulkę ciągnąć za język. I w istocie co chwilę pada coś, po czym w duchu parskam śmiechem, tak oryginalne są jej powiedzenia, których na nieszczęście nie umiałbym już skleić. Oczywiście o stanach duszy. — „Ja, kiedy jestem bardzo nerwowa, kiedy mi jest źle na duszy, wtedy idę się kąpać; to mnie uspakaja...”

Drepcemy tak po mokrym asfalcie przez cały Paryż, aż het na bulwar Raspail. Nieznajoma opiekuje się mną jak matka, ratuje mnie parę razy spod ciężkich autobusów, wreszcie odstawia pod hotel. — Nie powiem panu mego nazwiska, to nie ma znaczenia, dziękuję panu za tych kilka chwil... I mój gnomek znika w migotliwym mroku ulicy, zostawiając mi wrażenie trochę pocieszne, trochę niesamowite, wrażenie czegoś nierzeczywistego, a zarazem jakiś posmak smutku. Leje deszcz, bańki wodne wykwitają z bruku, aby zniknąć w tejże chwili, i nie wiem, czemu to nieznajome stworzenie, tu w tym olbrzymim mieście, wydaje mi się nagle taką bańką deszczową bruku Paryża...

Inna banieczka, bardziej błyszcząca. Też typek. Wpadłszy między Mâcon a Marsylią (wstąpił do piekieł, po drodze mu było) na dwa dni do Nizy, poznaję przez znajomych panienkę dobrze dorosłą, Polkę, urodzoną we Francji, spędzającą całe życie na obczyźnie.

<sup>18</sup>*mi-carême* (fr.) — półpoście; trzeci czwartek Wielkiego Postu, uroczyste świętowanie. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*Est-ce monsieur Boy* (fr.) — czy to pan Boy? [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*Oui, madame* (fr.) — tak, proszę pani. [przypis edytorski]

Zabawa, Święto

Kobieta "upadła"

Podróżuje sama. Bardzo bogata, rozpieszczona, samowolna, a chora na „niemoc woli”... — w tej chwili waha się, czy ma jechać do Włoch, gdzie w jakimś banku czeka na nią dwadzieścia tysięcy dolarów, czy do Paryża, czy jeszcze gdzie indziej. Zamieniam z nią ledwie parę słów (mówi po polsku z pewnym wysiłkiem), ale po południu widzę ją na *Promenade des Anglais*. Budzi się we mnie Pochroń; dwadzieścia tysięcy dolarów, może będzie robota... Zbliżam się, wita mnie mile. — Pan mnie poznał, taki znakomity człowiek... rumieni się lekko. Przechodzi fioraja, kupuję bukietek fiołków i wręczam. Panna rumieni się mocniej. Przeliczam w duchu dolary po kursie. Chwila rozmowy. — Proszę pana, czy pan zna Woronowa? — Tego odmładzacza? — Tak. — Nie, nie znam. Oczywiście, słyszałem o nim... — Co pan o nim sądzi? — Nie mam osobistego zdania...

Panienska chce widocznie coś mówić, rumieni się, waha... Ktoś podchodzi i rozmowa się urywa. Żegnaj się.

Spotykam wspólnych znajomych i wspominam o spotkaniu. — Mówiła panu o Woronowie? — Coś chciała mówić, ale nie dokończyła. — No, to musimy ją wyciągnąć.

— Proszę pani, może pani spyta pana Boya o to, co pani kiedyś pytała, pan Boy jest lekarz, może panią najlepiej objaśnić.

Panienska znów się rumieni, waha, wreszcie zaczyna. — ...Bo wie pan, jaki ten Woronow jest idiota. On chciał się ze mną żenić. Pyta mnie, czy ja wiem, co to jest małżeństwo? Powiadam, no naturalnie, że wiem; ludzie mieszkają razem... A on mnie pyta, czy ja wiem, że to jeden wchodzi w drugiego? Co za idiota. Proszę pana, jakże jeden człowiek może wejść w drugiego, pyta bardzo dorosła panienska, wlepiając we mnie niewinne i pytające oczy. Takiemu człowiekowi, jak pan, to uwierzę.

Z trudem zachowuję poważną minę. — Oczywiście nie cały, ale do pewnego stopnia może, odpowiadam. — Ale jakże to?... — Najlepiej będzie, jak ja to pani narysuję, mówię, wydobywając karnecik i ołówek. I gotuję się rysować z pamięci akt Woronowa, którego nigdy nie widziałem na oczy. Ale panienska rumieni się mocniej, odwraca się i nie chce patrzeć. Kiedy wyszła, znajoma moja mówi mi: — Wie pan, to jest jej perwersja. Ona się w ten sposób podnieca. Wszystkich po kolei wypytuje o to, a kiedy która z kobiet próbuje ją uświadomić, aby nie plotła głupstw, udaje, że nie słyszy, i nowopoznanego pyta się na nowo.

Dziwiłbym się, gdybym miał czas, ale za chwilę muszę jechać. Za kilka dni jestem znów w Paryżu. Ktoś mówi mi, że pewien malarz, który chce na swoją wystawę dać portrety „*tout Paris*” ostatniego sezonu, prosi, czy bym nie zechciał mu pozować. Można się domyślić, jak mi to pochlebia: *tout Paris* i ja! Idę do malarza, gdzieś blisko Montparnasse. Kogoś właśnie maluje, zapoznaje nas:

— Pan Boy-Żeleński, pan Woronow...

Co za traf! Patrzę na sławnego lekarza z ciekawością i rozbawieniem, przypominam sobie, że i ja go niedawno rysowałem... Ale okazuje się, że to nie ten główny Woronow, tylko jego brat i wspólnik, też lekarz-cudotwórca.

Ale ten malarz, który mnie ma malować, to też typek pierwszorzędny. Terlikowski<sup>21</sup>, Polak. Malując, opowiada mi po trosze swoje dzieje, jak uciekł z domu kilkunastoletnim wyrostkiem, całe życie wędrował po różnych krajach, aż wreszcie ustalił się w Paryżu...

Twarde życie ma ta polskość! Ten włóczęga, który czterdzieści lat spędził na obczyźnie, zachował typ warszawskiego Antka, mówi nawet z warszawska: nogamy, rękamy. Typowy cygan-artysta. Niewielki, szczupły, ruchliwy. I gaduła, przy malowaniu gęba mu się nie zamyka. Więc dowiaduję się, że jest niedawno żonaty z córką francuskiego ministra, kolosalnie bogatą, że to nowe ubranie popaćkane farbą kosztuje trzy tysiące franków, że niedługo wyjdzie gruba monografia poświęcona jego sztuce, że sprzedaje bardzo słono swoje obrazy (malowane oryginalną techniką, nożem, śliczne widoki Wenecji, widziane jako symfonia białego koloru) paryskiej finansjerze, ale że go to wszystko nie cieszy... Odwozi mnie do hotelu własnym pysznym automobilem, który nazywa stale „swoją bryczką”. Żona ma osobną bryczkę. Budują mu teściowie chałupę w Paryżu, będzie i kawałek gruntu... — To spryciarz pierwszej klasy, mówią mi o nim w kolonii. Wygląda taki nieprzytomny, a jak on umie pilnować w Paryżu swoich interesów, fiu! fiu! Zdolny chłop!

<sup>21</sup> Włodzimierz Terlikowski (1873–1951) — malarz, związany z École de Paris. [przypis edytorski]



Ten sympatyczny cygan, zięć ministra i milionera, doskonale umie trzymać fason w swoim nowym świecie. Raz przy nim była mowa o Polakach, że każdy z nich jest hrabią. — Czy i pan jest hrabią, panie de Terlikowski, zagaduje go z ironiczną intencją Francuz. — Więcej, panie, odpowiada zimno. — Margrabią? — Więcej, panie. — Zatem księciem? — Więcej, panie. — Więc czym? — Artystą, odparł dumny Polak. Czyż to nie jest dawny styl w najlepszym gatunku? To typ!

Ale ten, który mnie z nim zapoznał, to też paryski typ pierwszej klasy, Kazimierz Helle... Ale o nim nie powiem nic: to dziennikarz, mógłby mi słusznie odpowiedzieć: „Bujać to my, ale nie nas”. Zresztą już późno. Dobranoc.

## DYPLOMATYKA

Rozmawiałem raz z niestarym dyplomata a moim starym znajomym; mówiliśmy o chorobie pewnego luminarza. Znajomy mój mówi: — Tak, proszę pana, nikt nie zwraca uwagi, jak wielka jest śmiertelność w korpusie dyplomatycznym.

— Czemu pan to przypisuje? Wyczerpanie nerwowe?

— Oczywiście. Służba nasza jest tak ciężka, przemęczenie nerwowe takie, że lada przygodna choroba staje się w tych warunkach niebezpieczna. Widzi pan, nasza dyplomacja była, jak cały ustrój państwowy, improwizowana. Dochodzimy stosunkowo młodo do stanowisk, które w innych państwach zajmują posiwiśle w tej grze wygi. Z tym łączy się konieczność niesłychanego napięcia uwagi. Bo nasza służba ma jedną właściwość: nie wolno zrobić głupstwa. Czy kto się kiedy zastanowił, co to znaczy: *nie móc zrobić głupstwa*? To wymaga tak ciągłego wytężenia, że system nerwowy rujnuje się od tego. Przyjdzie lada grypa i — fiut!

Ten bardzo zdolny i inteligentny człowiek, mający przed sobą świetną karierę, mówił to z miną niemal posępną, tak że to, com usłyszał, głęboko wycisnęło mi się w pamięci. Z początku próbowałem zbyć rzecz tanim sceptycyzmem; myślałem sobie: „Ba, nie jest tak źle, iluż jest takich, którzy robią głupstwa, nie umierają i mają się wcale dobrze”. Ale, wiadomo, istnienie wyjątków nie narusza reguły; formuła wydała mi się trafna i tragiczna w swojej zwięzłości.

Nie móc zrobić głupstwa! Ależ to straszne. Wszak całe życie człowieka polega na tym, że robi głupstwa, które mu darowują, które mu zapominają, i które okupuje tym, że robi od czasu do czasu coś dorzecznego. W innych zawodach liczy się, można powiedzieć, per saldo. Zrobi ktoś np. 6 rzeczy mądrych, a 2 głupie: w najgorszym razie odciągają mu po prostu  $6 - 2 = 4$ : cztery zostaje mu na jego dobro. W dyplomacji nie. Niech zrobi 10 rzeczy dobrze, a jedno głupstwo, jest jak koń, który wygrał dziesięć wyścigów, ale złamał nogę: strzelają mu w ucho i idzie na befszytk.

Weźmy przykład. Pewien wyborny aktor udziela nieco... ekscentrycznego wywiadu. Potem zagra dobrze nową rolę i dostanie brawo. Niechby podobny wywiadzik kropnął dyplomata: nie zostawiono by mu czasu na odegranie się! Ale co wywiad: jedno słówko, jedna mówka, — i gotów!

Im dłużej myślałem nad tą kwestią, tym wydawała mi się poważniejsza. Robienie głupstw jest tak ściśle związane z dolą człowieka na ziemi, iż, odbierając mu to prawo, czy nie pozbawiamy go poniekąd jego męskości? Nie robić głupstw, czy ten program nie grozi tym, że staje się zbyt negatywny, coś jak „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”?

Można by różne rzeczy powiedzieć na obronę robienia głupstw. Czasem służą jako szczepienie ochronne. Pamiętny jest udział naszego paryskiego poselstwa w uroczystościach molierowskich przed kilku laty i hałas, jaki stąd powstał. Otóż, mówił mi jeden dygnitarz z MSZ, że przez długi czas, kiedy ministerium chciało zwrócić którejś placówce na coś szczególniejszą uwagę, referent pisał na marginesie czerwonym ołówkiem: „Żeby nie było jak z Boyem”. Była to niemal urzędowa formuła, mocniejsza niż „pilne”, „ważne” itd. I podobno działało magicznie.

Skoro mowa o ówczesnej naszej reprezentacji w Paryżu (to dawne dzieje; dziś, gdy tak wiele zmieniło się na lepsze, można te rzeczy rozważać niejako historycznie), interesująca była głęboka jej awersja i pogarda dla wszystkiego, co trąciło sprawami kulturalnymi. Wiem na przykład pozytywnie taki fakt: Przyjechał do Paryża prof. Kazimierz Morawski, nestor nauki polskiej, prezes Akademii Umiejętności, i przyjechał jako prezes Akademii.

Zdrowie

Kondycja ludzka

Zdarzyło się, że potrzebował w czymś pomocy w naszym poselstwie. Przyjęto go bardzo przez ramię i dano mu do zrozumienia, że te sprawy poselstwa nic a nic nie obchodzą. Było to tym dziwniejsze, że Morawski był co się zowie człowiekiem z „towarzystwa”; gdyby był po prostu panem Morawskim, przyjęto by go zapewne z otwartymi ramionami: ale fakt, że był prezesem Akademii wystarczył, aby go uczynić niepożądanym intruzem.

Fakt ten miał swoje następstwa. Kiedy w jakiś czas potem ogłosiłem relację z moich przeżyć paryskich, nikt ich tak dobrze nie ocenił, jak Morawski, który miał w tej mierze własne doświadczenie. Był to człowiek niezmiernie impulsywny. Przypadkowo tego dnia było walne zebranie Tow. Przyjaciół Francji w Krakowie, którego Morawski był prezesem. Pod świeżym wrażeniem, trzęsąc się z oburzenia, wszedł na estradę i opowiedziawszy pokrótce fakty, postawił wniosek, aby zebranie wyraziło słowa potępienia dla poselstwa polskiego w Paryżu, co uchwalono jednogłośnie.

Ale też został za to skarcony przez naszych monopolistów polskości! Oto co mu wypisano czarno na białym:

„...Na jakimś zebranku jakiegoś Towarzystwa przyjaciół Francji (w Krakowie!) prof. Morawski, *znakomitość prowincjonalna II klasy*, a obecnie także pionek w rękach enkaenitów, uważał za stosowne zaraz wyrazić słowa potępienia dla ambasady polskiej... ..Europa przejdzie nad tym faktem do porządku dziennego...” (*Mysł Narodowa*, 9 luty, 1922).

Znakomitość prowincjonalna II klasy! Kazimierz Morawski. W kilka miesięcy potem ten sam obóz postawił kandydaturę Morawskiego na prezydenta Republiki, wówczas przywrócono mu tytuły stołecznej wielkości I klasy. O to najmniejszy kłopot. Ale jak ma być za granicą mądry w tych rzeczach nasz dyplomata, skoro w samym kraju taki zamęt? Skoro oszalałe politykierstwo wnosi w wartości kulturalne tę samą dowolność, jaką przywykło stosować w każdorazowej ocenie wartości politycznych?

I oto sedno rzeczy. Sami robimy głupstwa co dzień, a nie chcemy, aby je robili ci, którzy nas reprezentują. Jakże w takim razie mają nas dobrze reprezentować? Jakże mają mieć kontakt ze społeczeństwem? Człowiek, któremu nie wolno robić głupstw! Tragiczna sytuacja. I niebezpieczna. Bo istnieje przysłowie: ten tylko nie zrobi głupstwa, kto nie robi nic. Jakże łatwo połączyć te dwa pojęcia i wysnuć z nich dyrektywę działalności...

Sądzę tedy, że pierwszym postulatem chwili byłoby przywrócić naszym przedstawicielom prawo do robienia głupstw. Z tą chwilą staną się żywymi członkami społeczeństwa, staną się naszymi braćmi, zdobędą swobodę ruchu, rozmach, śmiertelność ich się zmniejszy, przestaną być zimni, sztywni i nadęci na wzór „dyplomaty” ze starego teatru, przestaną cedzić słowa i przybierać miny ludzi, od których zależy pokój świata. Za głupstwa będziemy im wymyślać, za mądre rzeczy będziemy ich chwalić; niech robią głupstwa (oczywiście nie przekraczając racjonalnego procentu), ale niech robią.

A przy tym czy to tak łatwo wiedzieć, co jest głupstwem? O tym sądzi dopiero historia. I często sądzi pod kątem — innego głupstwa. I tak w kółko. To są rzeczy względne. A tu idzie o życie ludzkie, o higienę korpusu dyplomatycznego.

## KOLONIA

Miałem ochotę mówić o kolonii polskiej w Paryżu, ale spostrzegam, że o tym trzeba by napisać nie felieton, ale książkę. I taką książkę o polskim Paryżu, jego historię, geografii, filozofii powinien by ktoś napisać. Wszak od stu lat Paryż odgrywa taką rolę w naszym życiu. To jedno z większych polskich miast, jeżeli oceniać miarą skupienia energii duchowej. Ileż najrozmaitszych nawarstwień, ileż kształtów polskości. Całe pokolenia emigrantów, sfrancuziałe, skrzyżowane w najrozmaitszym stopniu; Polacy wrośnięci w Paryż, pracujący w jego warsztatach, naturalizowani formalnie lub faktycznie; wreszcie ta masa elementu napływowego, bądź wzytego mniej lub więcej w miasto, bądź koczującego niejako eksterytorialnie, artyści, dyplomaci (z teką lub bez), korespondenci, dziennikarze, szlifibruki, łaziki, studenci, studentki. Nie najmniej kolorytu nadaje polskiej kolonii masa ludzi, którzy tkwią tu nie wiadomo po co, dla których Paryż stał się nałogiem, koniecznością, i którzy żyją tu jakimś półżyciem cieniów, nie zasymilowani z Paryżem, niezdolni żyć już w kraju.

Urzędnik

Czasem pomiędzy nimi a Paryżem staje szczególna zaporą: język. Dość częsty objaw. Kto przyjedzie tu, nie znając języka, ma wielkie szanse, aby go nie poznać. Żyje w „kolonii”, styka się z samymi Polakami, w kawiarni płaci rachunek na migi lub mówi: *Garsons, mua payé*; kino i *Jockey* nie wymagają francuszczyzny... Bywają tacy po kilkuletnim pobycie w Paryżu. Opowiadano mi niegdyś o malarzu, który przez trzy lata co rano wchodził do tej samej piekarni, mówił *fin de siècle*, dawano mu bocheneczek żytniego chleba (*pain de seigle*), i nigdy nie dowiedział się, że te słowa znaczą co innego. Takich jest dużo więcej, niż się przypuszcza, i ci właśnie, skazani na ciągle współzycie z ziomkami, tworzą poniekąd jądro kolonii. To nadaje życiu polskiemu w Paryżu oryginalne zabarwienie małego miasteczka, zaszczipionego na olbrzymim mieście. Plotki, kłótnie, intrygi na tle teatrów amatorskich, w których grywa się *Szczęście Frania* albo *Posażną jedynaczkę*, oto dola, dla której wielu przymiera tu głodem i marnuje teraźniejszość i przyszłość. Duża ilość skrachowanych egzystencji, które tu się chronią, też nadaje „kolonii” swoistą fizjognomię. Bądź co bądź i ta gromadka jest wcale ciekawa; co człowiek, to typ, to cała historia, żywa tajemnica, której odcyfrowanie wymagałoby spojrzenia jakiegoś Balzaka. Są stoliki w kawiarni na Montparnasse, które robią wrażenie ludzkich cmentarzy.

Język, Polak, Obcy

Zajmującym studium literackim byłoby także wydobyć Paryż odbijający się w naszej literaturze. Ten tak ciekawy i żywy opis Paryża u Prusa, który nigdy w Paryżu nie był i który cierpiał na „chorobę przestrzeni” (stąd ten paniczny lęk moczara Wokulskiego w jasne południe na placu Opery), Paryż-dżungla Żeromskiego, podziemny Paryż Zapolskiej, i tyle innych Paryżów u naszych pisarzy.

Kondycja ludzka

Dziwna rzecz, jak u nas pozwala się sphywać wszystkiemu bez śladu, jak mało jest potrzeby utrwalania życia! Życie jest, zdaje się, za szczerę dla naszego nawyku zakłamywania wszystkiego; dlatego nie wypracowaliśmy techniki chwytania go na gorącym uczynku. Czy nikt nie napisze biografii tak ciekawej figury, tak zrośniętej z paryskim brukiem, jak Wincenty Brzozowski (*Vincent de Corab*), poety, który jeszcze tak niedawno temu był żywą legendą, który spędzał lata na wędrówkach między Paryżem a Syrią, żył nie wiadomo z czego, to pracował w fabrykach jako robotnik, to usługiwał w Paryżu jako kelner w prywatnej jadalni, prowadzonej przez żonę jednego z naszych artystów, po czym siadał ze stołownikami do pokera, — tworząc wśród tego nieliczne wiersze po polsku lub po francusku, uwodziciel wdów i sierot, zażyły w świecie paryskich apaszów i dziewcząt, którym deklamował Verlaine’a.

Kondycja ludzka

Ten najszlachetniejszej rasy cygan życiem wypowiadał się pełniej niż literaturą, dlatego szkoda, by jego życie przepadło bez śladu. Osobiście zetknąłem się z nim ledwie parę razy w Krakowie, dawno temu; pamiętam wieczór spędzony razem w kawiarni, kiedy ten łazik z dość plugawą brodą, otoczony famą „niebezpiecznego człowieka”, tłumaczył mi z zapalem piękności... Racine’a. Kiedy później czytałem *L’homme qui assassina* Farrère’a i ów bardzo zabawny komentarz „Polaka” Cernuwicza do *Bajazeta*, zawsze mi się przypomiwała owa gawęda z Brzozowskim.

Tę zdolność i potrzebę utrwalenia życia posiadają Francuzi w wysokim stopniu. Wspominałem o świeżej książce Francis Carco *De Montmartre au Quartier latin*: już tam ma swoją historię czy swoją legendę Zborowski, tak dobrze znany w paryskiej kolonii, i ów heroizm ubóstwienia, jakim otaczał malarza Modiglianiego, wówczas mrącego z głodu, po śmierci kupowanego na wagę złota:

„...Kiedy się zaszło do Zborowskiego, biegł kupić świecę i, osadziwszy ją w butelce, wprowadzał gościa do ciasnego pokoiku bez mebli, nagiego, nędznego, gdzie w kącie obrazy malarza tworzyły istną kupę. Przy blasku świecy Zborowski pokazywał swoje cuda, pieścąc je miłośniczą ręką i oczyma, po czym mówił w uniesieniu, przeklinając los, który ciążył nad „Modim” i pluł z obrzydzenia. Im więcej się ciskał, tym obficie słowa przyływały mu do ust dla wyrażenia wielkiego wspaniałego zachwyty wobec tych nagich ciał, tych postaci, tych portretów malowanych bez najmniejszej troski o „szkołę”, bardzo czystych, olśniewających, w których odbijała się dusza malarza i jego sztuka.

— Co za poezja! rozplýwał się Zborowski.

Przystawał, znów chodził i nagle wykrzykiwał:

— Tak, kiedyś zaniósłem piętnaście płócien handlarzowi i chciałem za wszystko tylko troszkę pieniędzy... Och, bardzo mało... żeby dać Modiglianemu... i kupiec nie chciał... powiedział mi: „Zabierz to pan... nie kupię... Czemu? Byłbym mu oddał tych piętnaście płócien darmo, gdyby mu się bodaj podobały. Ale nie... I żaden nie chce... Żaden... Cóż za idioci... Nie przyzwyczaili się jeszcze... ale zobaczy pan... później... nawet nie później... bardzo prędko... będą płacili bardzo drogo za te płótna, których dziś nie chcą...

— Więc dobrze, rzekłem, niech mi pan sprzeda ten akt, dobrze?

— Podoba się panu?

Zborowski wydał krzyk radości, poczym, zbliżając świecę: Patrz pan! wykrzyknął, jak to cudownie malowane... jakie to żywe... Och! cudowne!... Prawda, cudowne?

Panu nie sprzedam, zdecydował, daruję to panu... ma pan... daję panu... bo pan to kocha... — A pieniądze dla Modiglianego? — Nie... niech pan weźmie, jestem kontent, że się panu podoba... Nie mówmy o pieniądzech. Niech się pan o to nie troszczy... Jutro przyjdzie tu człowiek który ma kupić ubrania... Da mi dwadzieścia franków... to wystarczy...”

I następuje opis cudów poświęcenia, jakich dokazywał Zborowski, aby zdobywać dla przyjaciela nędzne środki do życia, i śmierć malarza, i jego tryumf pośmiertny.

Mógłby powiedzieć dużo o całej minionej epoce polskiego Paryża taki Jan Mieczysławski, poeta, przyjaciel Moreasa; żywą historią polskiego Paryża jest Antoni Potocki, jeden z najdawniejszych Paryżan, który im dłużej siedzi w Paryżu, tym bardziej nabiera polskiego typu i staje się podobnym do mickiewiczowskiego „Maćka nad Maćkami”, godzącego nieraz emigracyjne swary i kwasy energicznym: „A głupi! A głupi!” Pyszna figura! Dawno, dawno temu, za studenckich czasów, bywałem u niego w mieszkanku przy ulicy Campagne première: pokój zawałony papierami, Antoś na spirytusowej maszynie robi czarną jak smoła herbatę. W ćwierć wieku potem pytam o jego adres: hotel *Chatham*. Bagatela, myślę sobie, ależ zaawansował. Wjeżdżam windą na najwyższe piętro wspaniałego hotelu tuż koło bulwarów, wchodzę do pokoiku, skąd przez balkon obejmuje się okiem ocean dachów Paryża, pokój spiętrzony pod sufit papierami, a przy stole siedzi Antoś i gotuje na studenckiej maszynie (może to ta sama?) herbatę. — To na to ci trzeba Chathamu? mówię. Ale telefon przy łóżku, na dole książećcy hall do przyjęć: reprezentacja! I zawsze otoczony jakąś młodzieżą, która go uwielbia, jakimiś pół-Francuzami którzy przy nim polaczeją, gołymi malarzami, którym przez swoje stosunki pomaga coś sprzedać, zawsze pełen projektów, entuzjasmów, zna Paryż jak swoją kieszeń, od modnej restauracji aż do pokątnego muzeum, i kocha Francuzów i Francję miłością bez złudzeń. Świetny *causeur*<sup>22</sup>, o rozmowie pełnej olśniewających improwizacji, zawsze zachował jakąś młodzieńczą tymczasowość życia, zwrotność zainteresowań. Stare meblarstwo francuskie czy malarstwo angielskie, sprawa polskiej emigracji robotniczej, czynna robota polityczna podczas wojny i w pierwszym wrzątku naszej niepodległości, wszystko po kolei — albo naraz — pochłania go i odciąga od tego, co było głównym powołaniem jednego z najświetniejszych naszych krytyków i eseistów. Mimo usług, jakie Potocki oddaje w Paryżu naszej sprawie, jest to jeden z tych ludzi, których Paryż uwiódł, zagarnął i nie puścił już, z uszczerbkiem dla naszego rodzimego życia. Może by on zechciał spłacić swój dług pisząc, bodaj z żywych wspomnień, monografię polskiego Paryża? Pogodziłby w ten sposób dwie swoje miłości, dwie rywalki, — Paryż i literaturę. A kiedyż wskrzesić dawne szlacheckie gawędziarstwo, jak nie dziś, w epoce radio?

## WCIAŹ PLOTKI

Raz, po jakimś śniadaniu, w kilku Polaków otoczyliśmy kołem de Flersa. Opowiadaliśmy mu o sukcesach jego sztuk w Warszawie, o tym, jak jest dla naszych dyrektorów zawsze niezawodnym pogotowiem ratunkowym, o koncepcie Mariusza Maszyńskiego, który w *Królu* jako motyw hymnu serdańskiego wprowadził popularny „Wlazł kotek”,

<sup>22</sup>*causeur* (fr.) — gawędziarz, mówca, rozmówca. [przypis edytorski]

wywołując tym efekt nieprzepartego komizmu, etc. Potem rozmowa zesła jakoś na Balzaka. Flers, który jest bardzo miły gawędziarz, opowiada następującą anegdotę.

Będąc młodym literatem, pracował w jakimś dzienniczku, gdzie było dość krucho z funduszami: jakoż niebawem zredukowano pensje wszystkim współpracownikom. Jeden był tylko, którego nie tknięto: był to niejaki Cerfberr, niepozorny człeczyna w wytartym surducie, wiodący zagadkowe życie. Współpracownicy, poruszeni tą niesprawiedliwością, zapytali wydawcę o powód tego wyróżnienia. — Widzicie, moi drodzy, z tym człowiekiem muszę się liczyć, on ma ogromne stosunki: wciąż tylko mówi o hrabi de Trailles, o księżnej de Cadignan, o baronowej de Nucingen.... Otóż, wszystkie te tytuły, te nazwiska, które budziły w redaktorze zabobonny szacunek, to były figury z... Balzaka. Bo ten Cerfberr żył tylko Balzakiem, był maniakiem Balzaka, i on to, wraz z drugim takim samym, jakimś Christophe, ułożyli ów słynny leksykon balzakowski, zawierający biografie paru tysięcy pojawiających się u Balzaka figur.

Leksykon ten uchodził w literaturze jako curiosum. Ale obecnie młoda amerykańka z Chicago zamierzyła nadbudować jeszcze glorię na tym gmachu balzakowskiego pietyzmu pp. Cerfberr i Christophe. Książka miss Ethel Preston pt. *Recherches sur la technique de Balzac*, poświęcona jest rozpatrzeniu jednego rysu, mianowicie systematycznemu powtarzaniu się postaci w *Komedii ludzkiej*, w tym sensie, że powtarzające się figury występują bądź same, bądź też jest o nich mowa. Nie ma tego zjawiska w pierwszych utworach; pierwszy raz spotykamy je w *Ojcu Goriot*, w której to powieści wszystkie prawie główne postacie znane już były czytelnikowi z poprzednich opowiadań Balzaka. Im bardziej Balzac uświadamia sobie swoją koncepcję, tym szerzej i konsekwentniej stosuje tę metodę, jak to wskazuje wykreślona przez miss Preston linia graficzna. Największe skupienie figur balzakowskich widzimy w utworach datujących z pełni jego twórczości: *Stracone złudzenia*, *Blaski i nędze życia kurtyzany* (155 osób!).

Z chwilą gdy Balzak uświadomił sobie znaczenie swojej metody, posunął ją jeszcze dalej. Przedrukowując w nowych wydaniach dawne utwory, zastępował dość często pierwotne obojętne nazwiska nazwiskami figur z innych powieści, przygotowując niejako stopienie w jedną całość tworu, który później, w r. 1842, miał otrzymać zbiorowe godło *Komedii Ludzkiej*. Ta metamorfoza bywa co prawda niekiedy trochę naciągnięta; tak np. przechrzczony Rastignac z *Jaszczura* (1832) odskakuje nieco tonem od Rastignaca z późniejszych utworów. Sama jednakże myśl i jej przeprowadzenie mają swoje głębokie znaczenie. Dzięki temu powtarzaniu się figur, *Komedia Ludzka* daje wrażenie żywego społeczeństwa, dzięki niemu każda postać, każda grupka społeczna nabierają swej niezrównanej plastyki. Każda powieść staje się komentarzem do innych, każda pogłębia i rozszerza perspektywę, po jej przeczytaniu inne ujawniają się niejako w nowym świetle. Balzac obracał się w tym świecie z taką swobodą, że ledwie czasem popełniał drobne zewnętrzne omyłki; że jednak nie ma czytelnika, który by miał ten świat przed oczyma z równą wyrazistością, dlatego można czytać Balzaka ciągle i ciągle odkrywać w nim coś nowego.

I tym się też tłumaczy, że książki zdawałoby się tak specjalne, jak ten komentarz miss Preston, znajdują wydawców, pochłaniane przez wiernych balzakistów na obu półkulach.

Druga książka, która pojawiła się przed paru miesiącami, również oświetla poniekąd technikę Balzaka, ale od innej strony: ukazuje nam, ile w jego dziele, które z jednej strony jest ogromem konsekwentnej i wytrwałej myśli, bywało, z drugiej strony, pośpiechu, niedbałości, podporządkowania się wymaganiom materialnym. Są to zresztą rzeczy znane miłośnikom Balzaka i należą do tych słabości, które czynią im tego genialnego pisarza tym bliższym i tym bardziej ludzkim. Bo Balzaka kocha się tak, jak Montaigne kochał Paryż: „wraz z jego brodawkami”, jak mówił.

Odszukano mianowicie stary tom, który ukazał się bezimiennie w r. 1832 pt. *Contes bruns* (Ciemne opowieści, przez Przewróconą głowę, co wyrażała na okładce rycina przedstawiająca istotnie głowę na wywrót). Książeczka ta była utworem zbiorowym, a twórcą kilkunastu z zawartych w niej opowiadań był Balzac, wówczas młody autor. Otóż ten bezimienny zbiorek stał się dla Balzaka niejako lamusem, z którego łupił bez miłosierdzia własne utwory, ilekroć tego zapotrzebował. Nieraz — a zdarzało się to dość często — gdy sprzedał księgarzowi na pniu jakiś tom, którego nie miał czasu w umówionej objętości dostarczyć, brał któreś z „ciemnych” opowiadań o treści makabryczno-sensacyjnej

i pakował je dość bezceremonialnie, aby powiększyć rozmiary książki. Wiemy, w jakich warunkach Balzac pracował, wciąż ścigany długami, zobowiązaniami, procesami księgarskimi. Typowym przykładem jest *Muza z zaścianka*, którą po prostu rozsadzają aż trzy opowiadania włożone pod blahym pozorem w usta zebranych w salonie gości. *Drugie studium kobiety* również napchane jest tymi zapożyczeniami.

I oto spostrzegam, że stałem się jak ów Cerfber z anegdoty de Flersa: miałem mówić o wrażeniach paryskich, a opowiadałem plotki o figurach z... Balzaka. Ale trudno, pozostajmy już na dziś na tym terenie plotek.

Od dawna tedy dziwiłem się, że dotychczas nie rzuciła się na Balzaka psychoanaliza, która znalazłaby tam obfity pokarm (polecam gorąco tego autora naszym freudystom, mimo że się na mnie gniewają trochę od czasu moich niewinnych „Kurkiewów”). Otóż mamy już pierwszą jaskółkę: pojawiło się we *Frankfurter Zeitung* psychoanalityczne studium *Życie miłosne Balzaka*, podpisane „dr. B.” a ustalające u tego pisarza „kompleks matki”. Powieści *Kawalerskie gospodarstwo*, *Lilia w dolinie* i tyle innych, w połączeniu z pewnymi rysami biografii pisarza dostarczają silnych argumentów w tej mierze.

Interesującym jest w ostatnich publikacjach udział kobiet poświęcających się studiom balzakowskim. Z dawna jedna z najlepszych prac balzakowskich była pióra kobiety, Genowefy Ruxton (*La dilecta de Balzac*); obecnie wystąpiły prawie równocześnie dwie miss: miss Floyd i miss Preston. Do mnie niedawno zgłosiła się młoda miss Jarblum z Łodzi, legitymując się listem rekomendacyjnym z Paryża: cóż za okrężna droga z Łodzi do Warszawy! Ciekawe losy pisarza: spowiednik serc kobiecych, który w ciągu życia otrzymał kilkanaście tysięcy listów od kobiet, później odstąpiony przez kobiety mężczyznom jako pisarz na wskroś „męski”, obecnie znów zaczyna wracać do kobiet, ale od innej strony. Owe „niezrozumiane” kobiety, których był pocieszycielem, stały się tymczasem literatkami: i znów Balzac jest ich ucieczką i pociechą, tylko na inny sposób.

## PIERWSZY WIECZÓR

Przysiadłem przed kawiarnią „pod dwoma magotami”, gdzie mi naznaczył spotkanie pewien dziennikarz. Patrząc dokoła, jakże mi znane to wszystko. Kościół *Saint-Germain-des-Prés*, pomnik Diderota siedzącego w fotelu, tuż obok ulica Bonaparte i hotelik, w którym mieszkałem za pierwszym pobytom w Paryżu. Jak żywe stają mi w oczach te chwile. Przyjazd, pierwszy wieczór. Czym było wówczas dla młodego dzikusa pierwsze zetknięcie z „Babilonem”, to z trudnością można sobie wyobrazić dzisiaj. Życie pod wieloma względami wyrównało się ogromnie; oczywiście zewnątrz. Automobile, kina, kawiarnie, reklamy, jazz, charleston, nagie tancerki, międzynarodowa *Markita* czy *Walencja* brzmi wszędzie ta sama, kobiety wszystkich miast zrobiły się podobne jak rodzone siostry, ta sama szminka, te same cieliste pończoszki, ta sama — prawie — swoboda i obojętność życia. Ale wówczas, przed ćwierćwiekiem, dla młodego chłopca przenieść się nagle w ciągu niewielu godzin z małego i cichutkiego szarego Krakowa do Paryża, to była feeria, to było zanurzenie się w świat tajemnicy, baśni.

Przybyłem późno wieczór, zjechałem do hoteliku, gdzie wiedziałem, że mieszka znajomy mój i powinowaty, młody malarz. Nie było go w domu. Zostawiłem oczywiście kuferek i puściłem się na Paryż, po omacku. Zabrnąłem w gąszcz ulic wiodących ku Sekwanie, mając ledwie ogólne pojęcie o kierunku. Słabo oświetlone wąskie uliczki, sędziwe mury. Pusto, cicho. Naraz wyszedłem na wolną przestrzeń, owionął mnie chłód wody, znalazłem się na Wybrzeżu, skąd rozpościerał się czarodziejski pejzaż Sekwany w nocy, z jej arkadami mostów, wruszającym drżeniem świateł odbijających się w wodzie, czarnymi masami nadbrzeżnych gmachów. Przebyłem most, zapuściłem się w te czarne masy. Minąłem je, ujrzałem przed sobą długą jasną aleję, lśniąca mokrym asfaltem, puściłem się nią jak pielgrzym, nie wiedząc, dokąd wiedzie. Nie chciałem pytać nikogo o drogę, było coś miłego w tym błędzeniu po omacku, w tym odkrywaniu Paryża. Sen na jawie. Po jakimś czasie odgadłem, że jestem w samym sercu, na placu Opery, owym słynnym placu Opery.

Zgiełk, tłum, hałas oszołomiły mnie nagle; orgia świateł dokonała reszty. Był to wówczas początek nowoczesnych reklam; dziś zapewne wydałyby się skromne, wówczas były

Miasto, Przemiana

oślepiające. „*Passez l'hiver à Pau, l'été à Aix-les-Bains*<sup>23</sup>”, wrzeszczało światłem z ogromnego gmachu naprzeciw Opery: nigdy tej zdrowej rady nie mogłem wprowadzić w czyn, ale zapamiętałem ją dotąd. Czy może być lepszy dowód skuteczności reklamy?

Bulwary! Skręciłem w nie i dałem się nieść fali ludzkiej, ogłupiały, potrącany, zaczepiany przez przekupniów fotografii i przez dyskretne dziewczęta. „*Apéritif*”... raz po raz powtarzało się w ich propozycjach to nieznanne słowo, dając mi uczuć niedostatek mego filologicznego wykształcenia. Arab w burnusie, Chińczyk, Murzynka, to znów polski język brzmiący na tych bulwarach jak egzotyczne narzeczcie... Terasy przed kawiarniami — w styczniu — rojne, nieskończony sznur dorożek, pojazdów, automobilów. Kwiaciarki, handlarze zabawek, krzyk gramofonów, różnojęzyczny szum, w którym dominowała jasna nuta paryskiej francuszczyzny. „*Maryś, dziwujesz się?*” przypominały mi się te słowa z sienkiewiczowskiego *Za chlebem*.

Trzeba wracać. Skręciłem znów w boczne uliczki, niewinnie jak dziecię: nie czytałem jeszcze dzienników, które by mnie uświadomiły o ich niebezpieczeństwach. Kontrast między hukiem i blaskiem bulwarów a sennym mrokiem ulic starego Paryża był przejmujący. Z przecznicy wysunęła się zupełnie stara, skromnie odziana kobieta, o wejrzeniu raczej czcigodnym. *Viens chez moi, je serai bien polissonne*<sup>24</sup> — szepnęła do mnie. Upiór. Zląkłem się, zacząłem uciekać, straciłem kierunek. Brnąłem przez puste ulice zupełnie już na oślep. Bałem się. Wiedziałem, że aby dojść do domu, trzeba mi przebyć Sekwanę. — *Monsieur, où est la Seine*<sup>25</sup>? spytałem zapóźnionego przechodnia. Na to dość dziwne zapewne pytanie popatrzył na mnie podejrzliwie, wziął mnie może za kandydata na topielca. — *La Seine est grande*<sup>26</sup>, odrzekł wreszcie, wzruszył ramionami i odszedł. Z innym dogadałem się lepiej, pokazał mi kierunek. Znów znalazłem się na moście, jakże już kochałem ten Baudelaire'owski pejzaż z mroku, kamieni i światła. Już czułem się tutejszy. Dopytałem się ulicy i hotelu i znalazłem się u siebie. Malarz mój wrócił tymczasem. Oczywiście o pójściu spać nie było mowy, ja drżałem z ochoty zanurzenia się znów w Paryżu, on cieszył się przyjemnością oprowadzenia mnie po tym „piekle”.

I znów odbyliśmy tę samą drogę, przez mosty, przez Luwr, na bulwary. Już były puste, ale co kilkaset kroków wołały jakieś drzwi światłem. Olimpia! ta dawna, niepodobna do dzisiejszego banalnego dancingu, wydała mi się bajką wschodnią. Z pustej i ciemnej ulicy, po kilkunastu schodkach w dół, wchodziło się do sal natłoczonych, jasnych, z kilku stron brzmiała muzyka, pełno wymalowanych dziewczynek mówiących — po francusku. O cudny kraj, gdzie każda kokotka mówi językiem Verlaine'a, to uczucie raczej niż myśl napełniało mnie szczęściem. Siedliśmy w kącie sali przy szklance piwa, gawędząc z przystającymi na chwilę lub przysiadającymi dziewczynkami. Wydawały mi się takie grzeczne, takie dystygowane. Nagle tumult w drugim końcu sali. „*Cochons! cochons!*”<sup>27</sup> woła publiczność, oburzona bardzo serio na jakąś parę; co robiła ta para, nie wiem, ale musiało to być coś szczególnego, aby wywołać tak żywiołowy protest bywalców Olimpiii. I wiecie, jak zakończyła się historia? Garson przyniósł parawan i zastawił nim gorszącą parę.

Późno było, kiedyśmy się znaleźli znów na bulwarach. Pustka tych miejsc, naelektryzowanych gwarem, ma swoją wymowę. Malarz mówi: „Pokażę ci jeszcze coś”. Idziemy długo, przechodzimy znów jakiś most, jakiś plac, gdzie majaczą w mrokach wieże Notre-Dame, i kierujemy się za katedrą do małego budynku. Morga. Dziś podobno nie istnieje, wówczas wystawiało się tam trupy nierozpoznane; ci, którym ktoś bliski zginął, szli tam przede wszystkim go szukać. Trupy ustawione za szkłem, zamrożone, aby się nie rozłożyły. — Popatrz, wskazuje palcem mój towarzysz. Patrzę i ponad trupem widzę tabliczkę, anons opiewający, że ta sama firma dostarcza najlepszych maszynek do robienia lodów. Mrożonego trupa wyzyskano jako reklamę!

— „To masz Paryż! mówi mój przewodnik. A teraz chodźmy spać.”

Kobieta „upadła”, Język

Zmysły, Wstydy

Trup, Miasto

Handel

<sup>23</sup> *Passez l'hiver à Pau, l'été à Aix-les-Bains* (fr.) — spędź zimę w Pau, lato w Aix-les-Bains. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *Viens chez moi, je serai bien polissonne* (fr.) — chodź ze mną, zrobię, co zechcesz. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> *Monsieur, où est la Seine?* (fr.) — Proszę pana, gdzie jest Sekwana? [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *La Seine est grande* (fr.) — Sekwana jest duża. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *Cochons! cochons!* (fr.) — świnię, świnię. [przypis edytorski]

## ZAKOŃCZENIE

Pewnego wieczoru, lub raczej pewnej nocy, wychodząc z jakiegoś bankietu, spotkałem się w drzwiach z p. Marią Kastorską. Uszliśmy parę kroków razem. — Gdzie można by jeszcze iść, spytałem, będąc w Paryżu niepoprawnym włóczęgą. — Ja pana zaprowadzę. Szedłem posłusznie, zaciekawiony. Wkroczyliśmy w najpoufniejsze zakątki Dzielnicy Łacińskiej, jakieś stare ulice, stare kościoły. Okazuje się, że pani Kasterska jest namiętnie zakochana w dawnym Paryżu, zna każdy kąt, każdy kamień, o każdym ma coś ciekawego do powiedzenia. Cudnie jest. „Księżyc płynie swobodnie po przestrzeni bez chmur — tajemnych uczuć niepojęta władza — odbiera sen, tęsknotę naprowadza”, jak śpiewają w operze. — Miałam o panu gorsze wyobrażenie, mówi pani Kasterska z poważną miną, ale widzę, że pan dosyć dobrze umie chodzić. — Po Paryżu? Choćby całą noc, odpowiadam. — No, to pana jeszcze gdzieś zaprowadzę.

Przecinamy Sekwanę samym cyplem wyspy św. Ludwika, okrążamy milczący *Hotel Lambert* i przechodzimy na prawy brzeg. Jakże głęboko w nocy uspiiony jest Paryż, jak szanuje spoczynek nocny to najpracowitsze miasto! Wszystkie okna ciemne, jedynie na ogromnej płaszczyźnie bocznego ślepego muru błyszczy czerwoną firanką jedno samotne okienko. Nie wiem czemu, ale w tym oknie czytam nagle całą powieść Balzaka czy Barbeya. Mijamy wiele ulic, przystajemy pod starym pałacykiem pani de Sevigné, — dziś muzeum — moja przewodniczka sunie przez labirynt ulic bez jednego wahania, z nieomylnością lunatyczki. Wchodzimy w zamknięty czworobok domów tworzący ogromny plac, w nim ogród, po rogach cztery fontanny, w środku konny pomnik. W tej chwili wszystko śpi. Światło księżycza leje się na tę pustkę. To plac des Vosges. Może tam byłem kiedy, może nigdy, ale w tej chwili wydaje mi się czymś czarodziejskim. Mury mówią, kamienie mówią, słyszy się je jak muzykę.

Późno jest, przejeżdża automobil, chcę odwieźć moją przewodniczkę. Odmawia z oburzeniem. — Nigdy, powiada, w Paryżu nie używam tego wstrętnego pudła, chodzę piechotą. Niech pan jedzie, jeżeli pan zmęczony, wrócę sama, nie boję się”. Oczywiście ja znów się oburzam, jak przystało na rycerskiego Polaka, i odprowadzam tę drobną a męzną kobiecinkę przez pół Paryża, aż gdzieś za Panteon, po czym, już o brzasku, leniwo włokę się do domu.

Och, te powroty o świcie, pieszo, ileż mi one chwil przypominają. Ile razy tak wracałem. Powrót godzinę, półtorej godziny, do domu w nocy nie był tu za studenckich czasów niczym niezwykłym. Dorożka była fantastycznym zbytkiem, zresztą nie było ich w nocy, a jeżeli która wzięła pasażera, to o tyle, o ile jej to było po drodze do domu. Ileż uroku miały takie powroty, pełne myśli, marzenia, drażnione budzącym się życiem rannego Paryża. W szarzącym ledwie brzasku ciągnęły wozy w warzywem, z mlekiem. Czasem doczekało się otwarcia piekarni, kupował człowiek ciepłą bułkę chleba, potem otwierali mleczarnię, świeżutki *Gervais* z chlebem, cóż za pyszne śniadanie w wygłodzeniu bezsennej nocy. Szło się wolno, smakując chleb, ser, poranek. W perspektywie łóżko, gorąca kawa, i książka w łóżku, i utopiony w niej dzień, i znów Paryż, — życie próżniacze a pełne, nie zmacone żadną inwazją rzeczywistości.

Czy może istnieć idealniejszy teatr marzeń niż tu, wśród tych mówiących kamieni? Czarne wieże *Conciergerie* odbijające się w Sekwanie, to znów pomnik Maupassanta w parku Monceau i jego niemodna Paryżanka w sukni z buffami, albo Musset pod Komedią Francuską, wreszcie, o każdej porze dnia i nocy, zawsze niespodziany, zawsze jak gdyby pierwszy raz widziany plac Zgody! To znów, z wyżyn *Sacré-Coeur*, morze Paryża spowite delikatną mgłą. Ale każda ulica, trudno powiedzieć na czym polega czar tych ulic. Ileż razy wówczas, przed laty, zmęczony chodzeniem, siadałem na imperialkę omnibusu i jechałem wszystko jedno gdzie, patrząc sennie, wystawiając się na promieniowanie miasta niby w kąpeli słonecznej na działanie słońca. To znów wieczór, co za rozkosz przecinać miasto z lewego brzegu na prawy omnibusem w trzy siwe konie — sławny *Batignolles-Clichy-Odeon* — robić zakręt koło *Saint-Sulpice*, patrzeć z góry na te tak dramatyczne wody Sekwany, przepychać się w trzy konie długą ulicą *Richelieu*, zanurzyć się na minutę w gwarze przecinanych bulwarów i już piąć się pod górę na *Montmartre*, zaglądając niemal w niskie okna antresoli na tych wąskich ludnych uliczkach!



Wyznam po cichu: w ciągu tych kilku miesięcy pierwszego pobytu nie byłem właściwie nigdzie; ani w żadnej bibliotece, ani w sali wykładowej, ani — o zgrozo — w Komedii Francuskiej. Nie znałem nikogo, nie zamieniłem dwóch słów z żadnym Francuzem. Pławiłem się jedynie w ulicy Paryża. Raz, pamiętam, spędziłem cały dzień wiosenny na jakimś skwerze, na przemian drzemiąc, gapiąc się, czytając *Cezara Birotteau*. Po kilku miesiącach tego wałęsania się wróciłem innym człowiekiem.

Magia Paryża! Niedawno temu zakrawałoby to na mistycyzm. Dziś, wobec wielu nowych pojęć naukowych, wydaje się to czymś zupełnie realnym, czyż nie mogą kamienie mówić, czy nie może dusza miasta wnikać w duszę człowieka nieuchwytnym fluidem?

Mury Paryża są bardzo szczodre. Kiedy człowiek wałęsa się po tym mieście, ma uczucie, że jest mądry. Złudzenie! To Paryż jest mądry za niego: odczuwa się to bardzo dotkliwie, kiedy się wróci do domu i wyjdzie ze sfery działania tej potężnej dynamo. Pamiętam jedno takie przedpołudnie, przed dwoma laty, w dzień wyjazdu z Paryża po krótkim pobycie. Siedziałem na terasie kawiarni, przygrzewało łagodnie majowe słońce, byłem trochę niewyspany, sączyłem *apéritif* (nauczyłem się już znaczenia tego wyrazu), przydrzymując trochę od czasu do czasu. Miałem uczucie, że jestem Diogenesem grzejącym się na słońcu. I nagle przyszło na mnie olśnienie. Ujrzałem przed sobą otwartą wspaniałą karierę. Zastanawiałem się mianowicie, że w naszej epoce są ludzie uczeni i mniej uczeni, mędrsi i mniej mądrzy, ale że zanikła profesja, która istniała w starożytności: mędrzec. Co to był mędrzec, trudno dziś określić. Mędrzec nie potrzebował pisać książek, nie potrzebował robić wynalazków, ani dokazywać jakichś szczególnych rzeczy; wystarczyło parę rysów, parę gestów — mędrzec. To był pewien stosunek do życia, do siebie samego, do świata. Taki Diogenes zerwał z kobietami i sprawił sobie drewniany kubek: — mędrzec. Jakiś tam Greczyn nie uznawał innej linii tylko prostą: przyjaciele musieli za nim chodzić i pilnować go, aby nie wlaź do rzeki albo nie rozwalił sobie głowy o drzewo: — mędrzec. Inny uszedł po prostu kilka kroków, aby zadać fałsz komuś, kto twierdził, że nie istnieje ruch: — mędrzec. Kazałem sobie podać jeszcze jeden wermut. Słońce łaskotało mnie rozkosznie po twarzy. Coraz bardziej czułem się mędrce. Widziałem przed sobą drogę życia, tak wyraźnie, że układałem sobie, iż pierwsza rzecz po powrocie do kraju będzie zamówić sobie bilety wizytowe z napisem:

*Boy, mędrzec*

Potem, w drodze, zapomniałem o tym. Przypomniałem sobie, kiedym wysiadł na dworcu w Warszawie. O biada! nigdy się nie czułem głupszy. Padał deszcz. Zajechałem do domu. Wróciłem do moich zajęć.

Biletów wizytowych nie zamówiłem dotąd...

## *A Paris*

*Conférence faite par M. Boy-Żeleński le 19 février 1927, au grand amphithéâtre de la Sorbonne, à la Séance solennelle présidée par M. le ministre Louis Marin.*

*Monsieur le Ministre, Mesdames, Messieurs.*

*Me trouver ici, à Paris, ce Paris si adoré par moi dès ma jeunesse, dans cet auguste amphithéâtre de la Sorbonne, dans cette brillante assistance, devant ce public choisi; — y être l'objet de cet honneur insigne, de cette manifestation de sympathie, parler au public français, tout cela me semble vraiment plutôt un rêve, un songe, qu'une réalité. Vous saisirez encore mieux ce sentiment que j'éprouve, quand je vous raconterai en quelques mots les étapes de ma vie, une vie très simple à la vérité, mais dont le cours pourtant, vu surtout dans les lumières de cette salle, me paraît en ce moment un peu fantastique. Je sens bien tout ce qu'il y a d'audace de se laisser aller à des confidences personnelles devant une telle assemblée; mais enfin se comprendre soi-même, se faire comprendre aux autres, c'est un besoin inné à l'homme, c'est une des sources de la littérature. Or, puisque, Mesdames et Messieurs, vous daignez vous intéresser à ma modeste personne — où plutôt à l'idée qu'elle représente — puisque nous devons faire connaissance, je ne vois pas d'autre moyen que de me raconter tout simplement à vous, que de faire en votre présence comme qui dirait „une heure avec...”, une petite heure avec moi-même.*

*D'autant plus que ma situation littéraire et personnelle a toujours été, dans mon propre pays, assez compliquée, pour ne pas dire équivoque. D'abord, j'ai le triste privilège d'être*

considéré comme une sorte de phénomène, ayant, comme vous le savez déjà, traduit bien près d'une centaine de volumes des chefs-d'œuvres de la littérature française. Oui, c'est là l'aspect vénérable, dirai-je, de ma personne, son aspect „décoré”. Quand on parle de moi dans nos journaux, on emploie volontiers des expressions comme: „tâche écrasante”, „travail infatigable” — et surtout „bénédictin”. Boy et *bénédictin* sont devenus presque des synonymes.

Et pourtant, quand, il y aura bientôt une vingtaine d'années de cela, j'ai débuté par un recueil de petites chansons, elles furent trouvées bien audacieuses, voire frivoles, et faisaient la nique à bien des choses respectées qui me semblaient peu respectables. Lorsque, ensuite, je devins populaire — trop populaire — dans mon pays comme poète, on me fit l'honneur de me trouver sensuel et pervers. Et lorsque, comme critique de théâtre, comme feuilletoniste, je suis parfois obligé de batailler, de me chamailler, je le fais avec un entrain qui vraiment n'a rien de *bénédictin*.

Et ce n'est pas la fin de ces surprises. Pour les uns, je suis le traducteur des *Pensées* de Pascal, pour les autres le traducteur des *Dames galantes* de Brantôme. D'un côté on m'offrait la chaire de littérature française à l'Université de Poznań, de l'autre côté on me traitait de corrupteur de la jeunesse. Et remarquez enfin que, derrière tout cela, se cachait pendant assez longtemps encore un troisième personnage: Boy-médecin, oh, c'est bien le cas de le dire: „médecin malgré lui”.

C'est bien pénible de n'avoir pas de physionomie homogène. Or, il advint une fois que l'envie me prit de voir clair moi-même dans tout cela, et de chercher ce qu'avaient de commun entre eux ces personnages disparates. La voie d'une confession publique me parut la plus efficace. Et non pas par écrit; non, d'une confession de vive voix. Je fis mes malles, et j'entrepris le voyage dans une cinquantaine de villes en Pologne en y faisant des conférences. Or, il se trouva que cette confession touchait à tout moment aux choses de la France; que c'était en France que j'étais obligé de chercher le sens caché de mes avatars, de sorte qu'en somme, cette confession devint un hymne passionné à la gloire de la France. Mais, lorsque je me permis d'ôter cette robe de *bénédictin* dont on m'affublait, il me fut impossible de continuer la mystification: je fus contraint de montrer que ce qu'elle cachait, cette robe austère, c'était la passion, l'amour, le plaisir, la volupté.

J'ai été sous le charme de la pensée française presque avant de la connaître; le son de la langue française, la vue d'un livre français, avaient pour moi, enfant, quelque chose de fascinant. Chez nous, en Pologne, dans beaucoup de familles les enfants apprennent le français tôt: pas tout à fait, hélas, comme Montaigne le latin, mais enfin assez tôt. Étant sorti de l'âge des bonnes, j'eus pour maître de français un Courlandais francisé, d'une famille émigrée, un ancien Zouave, qui avait servi la France dans la Légion Étrangère. C'était un solitaire, un misanthrope à la façon d'Alceste, qui vivait au milieu de ses livres, de ses classiques français chéris. Moi, j'étais alors très „moderne” — ce qui est bien naturel, vu que j'avais treize ans — aussi nous nous disputions souvent. Moi, je lui parlais Guy de Maupassant, il me répondait Pascal. Je reconnus plus tard qu'il avait raison. C'était pis, quand il me fit réciter par cœur la description de la grotte de Calypso du Télémaque, en voulant me faire avouer qu'il n'existait rien de plus beau au monde. J'étais alors sous le charme de bien d'autres Calypsos. Le „roman mondain”, qui était alors à son apogée, faisait mes délices; je me bourrais de Cruelles énigmes, de Mensonges, de Notre coeur, de Coeur de femme etc. Gosse de treize ans, avec des mains barbouillées et des pantalons déchirés, je vivais par mon âme dans les coquettes garçonnières des „hommes du monde”, et je couvrais en rêve de baisers brûlants les sveltes, les souples corps de ces „femmes mariées” enchanteresses, qui, après l'heure exquise, s'évadaient discrètement, en laissant après elles une traînée de parfums; je crois que c'était de l'opoponax. Ah! comme je comprenais bien ces „femmes incomprises”, comme j'aurais su les aimer alors! C'était pour moi comme du haschisch, je quittais le livre les joues enflammées, avec une tendresse exaspérée dans l'âme...

Excusez ces détails, peut-être superflus, mais depuis le grand patron de tous ceux qui se confessent, depuis l'immortel Jean-Jacques, une petite description de délires innocents de l'imagination enfantine est devenue, dans une confession, pour ainsi dire de rigueur.

Le collègue fini, il fallait embrasser une carrière. J'étais fils d'un artiste, d'un éminent musicien-compositeur, Ladislas Żeleński. Je fus élevé dans l'atmosphère de l'art, pourtant je ne sais quel diable s'en mêla, — quand vint le moment de décider, je choisis la médecine. C'était

peut-être encore le dernier écho de l'époque positiviste, qui créa ce préjugé que toute étude un peu sérieuse sur la vie devait commencer par la dissection des cadavres. Mon état d'âme était alors à peu près celui du fameux Disciple.

Tout en fréquentant assez mollement mes cours, j'avais toujours quelque livre français dans ma poche. Je me passionnais alors pour la critique française, j'adorais Jules Lemaitre. C'était aussi le temps de l'épanouissement d'Anatole France. Ah, Mesdames, Messieurs, c'est au Lys rouge que je dus ma première „femme du monde”: ma conversation sur ce livre lui parut si délicate, qu'elle sentit d'instinct qu'elle pouvait se confier à moi.

Je fréquentais, par goût, les jeunes cénacles littéraires à Cracovie. La dévotion était alors aux Scandinaves, aux écrivains russes, à Ibsen, à Strindberg, à Dostoïevski, à Nietzsche, à Oskar Wilde etc. Nous autres, Polonais, nous avons une grande et belle littérature à nous, mais à l'époque de ma jeunesse nous consommions énormément de littératures étrangères. Or, dans les cénacles d'alors on n'était pas toujours très tendre pour la France. De ce temps je retins comme exemple une anecdote, dont le souvenir m'amuse parfois beaucoup. Un jour, en portant un gros livre sous le bras, j'entrai chez le grand écrivain Przybyszewski, dont j'avais l'honneur d'être le jeune ami. Voyant mon bouquin, toujours curieux des livres, il me demande ce que c'était? C'étaient Les dialogues philosophiques de Renan. A cette vue, l'écrivain fut saisi d'un fou rire; de plus il appela de la chambre voisine sa cuisinière, et, hors de lui, les yeux injectés de sang par le rire convulsif, il lui dit en montrant mon livre: „Kasia, regarde ce que ce monsieur lit!” La cuisinière, un peu hystérique, ne comprenant rien, mais gagnée par la hilarité de son maître, se mit aussi à se tordre de rire; et pendant quelques minutes ils se gaussèrent ainsi tous les deux de ma pitoyable lecture.

Mais, si l'on était quelquefois rebelle au côté rationaliste de la pensée française, en revanche, la poésie française avait conquis les cœurs de notre jeune génération d'alors. Il y a trente ans, nous fumes charmés par la belle traduction faite par le poète Miriam du Bateau ivre d'Arthur Rimbaud, dont on se grisait en le „gueulant” à tue-tête. On admirait Verlaine et on se chuchotait tout bas sa légende; Les fleurs du mal de Baudelaire étaient le livre de chevet de nos jeunes poètes. Dans un des jeunes cénacles dont je faisais partie, et où on faisait largement honneur aux spiritueux, il était de rite de s'agenouiller tous ensemble, et de réciter en chœur Les lithanies de Satan de Baudelaire, alors récemment traduites par le poète Stanislas Brzozowski. On se frappait la poitrine comme des derviches en extase tout on hurlant le refrain: „O, Satan, prends pitié de ma longue misère!” On lisait beaucoup Huysmans; plus d'un de nos jeunes décadents (comme on les appelait à cette époque) aurait volontiers imité la vie „à rebours” de des Esseintes, si cela avait été moins coûteux.

Mais, si l'on parle de l'état des esprits de la jeune Pologne à l'égard de la littérature française, il faut bien distinguer: ceux qui connaissaient la langue et ceux qui ne la connaissaient pas. Les premiers étaient tous acquis à la France; les opinions des autres étaient plutôt confuses. La connaissance de la langue française se perdait chez nous; à mesure que surgissaient de nouvelles couches démocratiques, elle devenait un luxe. On nous tourmentait beaucoup au collège avec le grec; on nous bourrait de la langue et de la littérature allemande... Or, ceux qui ne possédaient pas la langue française étaient quasi-matériellement séparés de la France, n'en pouvaient avoir qu'une très faible idée, surtout de sa grande littérature. Car, par un paradoxe assez curieux, nous avons toujours eu assez peu de traductions de français, par le fait même de la diffusion séculaire de cette langue chez nous. Prenons un exemple: nous n'avons jamais eu de traduction de la Nouvelle Héloïse. A l'époque où, comme veut la légende, le roi Stanislas-Auguste, après son avènement au trône, écrivait à Mme Geoffrin: Arrivez, maman, votre fils est loi, — on n'avait pas besoin chez nous de traductions. De même Mme Hańska, pour faire sa déclaration à Balzac, n'a pas attendu les traducteurs. Fait curieux: dans la période de la plus vive gloire de Balzac, 1840–1880, nous n'avons pas eu de ses traductions. Mais successivement, quand la connaissance de la langue française commença à se perdre, cet état devint très dangereux pour le rayonnement de la pensée française.

Je devins donc docteur en médecine. Bientôt je me retrouvai à Paris, où je devais me perfectionner dans l'art médical.

C'est à peine si je mis les pieds dans les cliniques. C'était, je crois, aux cours de M. Dieulafoy et de M. Hayem. Mais je sentis aussitôt que, me trouvant à Paris, dans cette ville unique, ce serait folie que de perdre mon temps à percuter les poumons et à tâter les foies absolument

identiques à ceux que j'avais laissés dans mon pays. Alors j'envoyai promener les hôpitaux et les laboratoires et tout bonnement je me mis à flâner au hasard.

Je ne trouve rien, à quoi je pourrais comparer l'impression de cette première rencontre. Il y a dans cette ville comme un fluide mystérieux qui se dégage des murs, des rues, de la foule, de l'air. Cette impression est si forte, si enivrante, que les nerfs de beaucoup de gens se trouvent ébranlés par ce premier contact avec Paris; c'est comme une crise aiguë, suivie d'une prostration. Moi aussi, j'ai subi cette attaque de „neurasthénie parisienne”. Affolé, énervé, presque malade, je me suis enfermé dans ma petite chambre d'étudiant — c'était un petit hôtel de la rue Bonaparte — et l'hiver étant dur, je restais presque tout le temps dans mon lit, ayant pris un abonnement dans un cabinet de lecture. Je suis tombé sur un livre de Balzac, auteur que je ne connaissais presque pas: c'étaient, par hasard, *Les Illusions perdues*. J'ai dévoré de suite toute *La Comédie humaine*. Alors seulement je fus vacciné contre Paris, je pouvais me promener dans les rues. Cette lecture de Balzac en plein Paris inconnu, qu'accompagnaient les rumeurs de l'immense ville arrivant du dehors, me procura quelques semaines que je crus passer dans un rêve. Le soir, quand il fallait quitter la chambre pour prendre quelque nourriture, je parcourais la ville vivant encore dans la magie de la *Comédie humaine*.

Et puis, les quais de la Seine! Je connus la volupté de ces promenades qui durent des heures, de ces langueurs en présence du plus beau paysage du monde, de ce paysage de pierre du vieux Paris depuis Notre-Dame jusqu'au Louvre, tout en furetant dans les boîtes aux livres le long des Quais...

Après Balzac, vint Diderot, dont Jacques le fataliste et son maître m'intrigua d'abord sur les quais par son titre bizarre. Cela me fit faire le tour du XVIII-e siècle. Et c'est là, sur les quais, que j'ai suivi, en quelque façon, le cours de la littérature française; c'est d'ailleurs le seul que j'aie suivi. Je n'ai fait que m'extasier devant les murs vénérables de la Sorbonne, du Collège de France, fasciné par la force mystérieuse qu'elles recèlent. Mais je n'y ai jamais mis les pieds. J'étais timide, je ne savais pas par où l'on entre, et puis, le principal, j'étais venu à Paris pour étudier la médecine.

Mais autre chose devait me solliciter si fortement que ma carrière s'en trouva changée. Je veux parler de la chanson, de la chanson parisienne. De cette chanson, je fus vaguement épris dès les premiers jours passés à Paris. C'était exotique pour moi: chez nous on ne chantait pas. Je rencontrais cette chanson un peu partout. Dans la rue je stationnais volontiers dans les groupes qui entouraient un chanteur ambulancier. Puis, à mon étonnement, je vis des boutiques à chansons, où l'on vendait des chansons comme des petits-pains et où un gramophone d'une patience à toute épreuve enseignait au public la chanson du jour. J'entendais avec plaisir chanter les jeunes filles que j'avais connues au Bal Bullier. Mais les vraies sources de la chanson parisienne m'étaient inconnues. Certes, les échos des glorieux succès du Chat-Noir étaient arrivés jusqu'à Cracovie, mais pour moi, jeune sauvage, seul, perdu dans cet immense Paris, aburi, je n'ai pas eu l'idée d'en demander des nouvelles; le Chat-Noir d'ailleurs n'existait plus.

Mais un soir, un camarade, un vieux Parisien celui-là, rencontré par hasard, me mena dans une petite rue — rue Champollion, je crois, non loin de la Sorbonne — dans une boîte sous l'enseigne Le Grillon, qui se changea depuis en Noctambules. Et c'est là que, moyennant un franc, bock ou café compris, j'entendis Paul Delmet, Marcel Legay, Gabriel Montoya, Numa Blès, Vincent Hyspa et les autres bons chansonniers de Montmartre. Je fus ébloui, émerveillé; j'avais l'impression qu'un voile me tombait des yeux, que pour la première fois je voyais le monde comme il faut le voir, reflété dans cette chanson si charmante et si variée. Encore aujourd'hui je saurais répéter presque par cœur les chansons que j'entendis cette première soirée. Les simples et si exquises mélodies, que Delmet, alors bien près de sa fin prématurée, chantait de sa voix grêle de poitrinaire; puis Montoya qui tous les soirs, pendant des années, roucoulait de sa voix de fausset sa jolie Chanson d'antan, pareil à un grand oiseau appelant désespérément sa femelle; et les autres qui de leur verve spirituelle fouaillaient petits et grands et donnaient aux événements de la vie plus de rythme et plus de sens. Oh! l'admirable chanson parisienne, ce fut vraiment elle qui acheva mon éducation; et c'est la nostalgie qu'elle me laissa au cœur qui décida plus tard de ma vie.

Tout cela était bien beau. Mais, pour le moment, le résultat en était tel, que je fréquentais tous les soirs les cabarets, que je flânais dans les rues en fredonnant les chansons entendues hier et en me faisant de dures reproches de négliger mon métier de médecin.

*Enfin, après quelques mois de cette existence, il fallut bien rentrer dans mon pays. Je rentrai aussi dans les hôpitaux. Aux questions de mes maîtres de chez nous sur les nouvelles méthodes de la médecine française, je donnais des réponses plutôt diplomatiques. Enfin je pouvais tant bien que mal ma médecine, tout en vivant — c'était mon plaisir et ma revanche — dans le monde de la bohème artiste de Cracovie.*

*Ces années de ma jeunesse se passaient justement dans une période très exubérante de la vie cracovienne et une des plus fécondes de la vie artiste en Pologne. La nouvelle sève s'accumulait dans ce Cracovie, dans ce coin de la Pologne où on respirait plus librement qu'ailleurs. Ce fut le renouveau du théâtre, de la peinture dont l'Académie fourmillait d'une jeunesse pleine de talent, de la littérature, — période qui fut ensuite comprise sous le nom général de la Jeune Pologne. Cette abondance de talents fit du Cracovie de ce temps la ville la plus extraordinaire peut-être qui existât jamais: une capitale intellectuelle d'un grand pays, entée sur une ville qui, à d'autres égards, était bien loin d'être une capitale; une ville relativement petite et dont les moyens matériels n'étaient en aucune proportion avec le rôle qu'elle jouait. De cela il s'ensuivit que l'élément artiste et intellectuel n'y était pas contrebalancé par les finances, l'industrie etc. Les artistes y arrangeaient la vie à leur guise sans se soucier des bourgeois et sans éveiller leurs protestations. Tout cela fit aussi qu'il s'accumula dans le clan artiste de Cracovie d'alors beaucoup de fantaisie, beaucoup de cet humour qui vit dans chaque générations d'artistes, mais qui, dans les tristes conditions de notre vie nationale, n'était jamais arrivé à s'exprimer publiquement. Là, tout près de l'Académie des Beaux-Arts, se trouvait un petit café où s'assemblaient peintres, sculpteurs et toute la jeune bohème cracovienne. Bientôt les parois se couvrirent d'esquisses, de caricatures, de là il n'y eut qu'un pas à l'idée de créer un cabaret artistique.*

*C'est là que naquit le Petit Ballon Vert, cabaret chat-noiresque, qui groupa la plupart de ceux qui dirigent aujourd'hui la vie artistique en Pologne et qui alors étouffaient dans la trop pleine et trop petite Cracovie. Ce fut une fusée de gaieté folle, un rire bruyant dont les échos parcoururent toute la Pologne; ce fut „le conseil de révision”, parfois cruel, de beaucoup de fausses grandeurs, de beaucoup de mensonges officiels, qui trop longtemps avaient trouvé un abri dans les labyrinthes de notre vie nationale, compliquée et tourmentée. C'est là, qu'entraîné par la gaieté qui était dans l'air, travaillé d'ailleurs par mes souvenirs parisiens, j'ai débuté par une chanson, une autre s'ensuivit, et bientôt, presque sans savoir quand et comment, je devins le gros pilier du Petit Ballon Vert.*

*Ce Cabaret de Cracovie avait une particularité: il donnait toujours de l'inédit. Aussi ne pensait-on pas à imprimer ce qui se débitait là. Mais après un certain temps, le nombre de mes chansons et de mes vers allant grossissant, on me persuada de les publier. Il fallait trouver un pseudonyme: je ne pouvais tout de même pas signer du même nom les ordonnances et les couplets. Sans penser longtemps, je pris le pseudonyme „Boy”, qui devint rapidement plus populaire que j'aurais pu le supposer et que jamais je ne pus abandonner depuis. Je ne savais pas alors que ma carrière littéraire aura des suites: de là ce paradoxe que la propagande la plus chaleureuse de la littérature française devait se faire par la suite sous un nom de guerre anglais...*

*L'encre c'est comme la cocaïne; quand on l'a goûtée on y revient. Aussi sentis-je le besoin de noircir le papier au surplus de chansons qui m'obsédaient. J'étais tourmenté par la nostalgie que Paris m'avait laissée au cœur. Ce qui me manquait autour de moi, c'était ce merveilleux sourire de la France, c'était sa sagesse aimable et profonde, c'était son souffle d'amour. Je ressentais vaguement le besoin de communiquer mon enthousiasme et de me recréer en même temps, dans mon cabinet de travail, une „France artificielle”, quelque chose dans le genre du „soleil artificiel des montagnes” que la médecine nouvelle a mis à la mode. Je me mis à traduire. Je me rappelai les instants merveilleux dus à Balzac, et c'est par Balzac que je commençai. Puis je traduisis le Misanthrope, pour voir au théâtre de Cracovie mon grand amour, la Célimène de Molière. Alors, avec Molière, ce fut une sorte de folie qui s'empara de moi. Je renvoyais les malades, quand ils avaient (rarement d'ailleurs) l'indélicatesse de m'incommoder, et je me plongeai dans l'œuvre de Molière. En moins de trois ans je traduisis tout, vers et prose, jusqu'à Don Garde de Navarre, jusqu'à La coupole du Val de Grâce, ce qui prouve qu'un grand amour peut mener à des perversités. La vie m'était devenue délicieuse. Quand j'eus fini tout Molière, je poussai un „ouff!” en pensant que jamais je ne pourrai plus entreprendre un travail de longue haleine: j'étais essoufflé. Pour me délasser, je m'amusai à traduire les jolies et*

si innocentes au fond Dames galantes de Brantôme; je le fis en vieille langue polonaise; comme notre langue au XVI-e siècle était très sévère, très chaste, cela produisit des effets encore plus cocasses que l'original français. Ah, mesdames, messieurs, cela fit un joli scandale, il faut le dire! mais un scandale que je bénissais, car il aida beaucoup au succès de mon Molière.

Puis, par contraste, je fus tenté par Les Liaisons dangereuses de Choderlos de Laclos et leur langue cérémonieuse, sobre, „brûlante à la façon de la glace”, comme en a dit le poète. Mais aussi Brantôme m'amena à Rabelais. Oh! ce fut de nouveau un paroxysme de bonheur! Je vous assure, qui n'a pas traduit Rabelais, ne sait pas ce que c'est le plaisir de vivre. Je risais aux éclats, tout en inventant le vocabulaire polonais pour rendre dans toute leur saveur ces énormes farces de génie.

Je le traduisis complet, en cinq volumes, pour lesquels je trouvai un éditeur, en le persuadant, que c'était „quelque chose dans le genre de Brantôme”. Il fallait bien employer de ces trucs innocents. Nous finissions justement d'imprimer le dernier volume, quand éclata la grande guerre mondiale. Mon éditeur en fut très contrarié, il me faisait de durs reproches. Nous finîmes notre Rabelais, mais le moment n'était vraiment pas bon pour le lancer: l'éditeur l'a descendu dans une cave, la place était assez bien choisie.

Mais bientôt on m'enrôla, comme médecin-major, plus que jamais „médecin malgré lui”, dans l'armée autrichienne; on me donna d'abord une casquette, puis un sabre, à la fin tout un uniforme. Heureusement, on m'oublia dans la forteresse de Cracovie, car Cracovie était — paraît-il — une forteresse.

Au premier moment il semblait que c'en est fait de toute la vie „civile”, la soldatesque étrangère envahissait tout. On ne voyait à Cracovie que les uniformes d'une foule de nationalités, qui s'entendaient entre elles tant bien que mal en allemand.

Ces premières semaines m'ont forcément détourné de mes travaux, ou plutôt de mes plaisirs. Mais bientôt ma vieille nostalgie me reprit avec une force redoublée. Écorchant l'allemand au cours de mes fonctions de la journée, improvisant dans cette langue mes rapports médico-militaires, j'employais à mes travaux préférés tout le temps possible. Sous le tas de paperasses il y avait toujours sur mon bureau un petit volume français que je cachais à la façon des écoliers, quand j'entendais de loin la voix hargneuse de mon chef. Pendant que les Allemands se battaient contre les Russes sous les murs mêmes de Cracovie, je me plongeai avec délices dans la traduction des Essais de Montaigne. Je traduisis Descartes dans ma petite chambre de service aux sons de la musique qui jouait la marche d'adieu aux régiments partant pour le front d'Italie, et je dois dire que ce rythme allègre allait assez bien à la pensée triomphale de Descartes. Je traduisis Le grand Testament de Villon en quelques semaines d'automne, dans une horrible baraque, humide et sombre, qui me servait alors de logement, où les souris se promenaient sur mon lit, tandis que la pluie battait désespérément le toit. C'était vraiment un cadre bien choisi pour vivre soi-même et faire revivre Le grand Testament de Villon.

Mais écrire n'était rien: la grande affaire d'alors, c'était d'imprimer, d'éditer. Trouver, en 1915 ou en 1916, à Cracovie, situé alors parfois à quelques kilomètres du front, — non pas un éditeur, mais un imprimeur qui consentît d'imprimer, à crédit naturellement, les cinq grands volumes de mon Montaigne, c'était, sans me vanter, un chef-d'œuvre d'éloquence et de diplomatie digne de l'illustre Gaudissart. C'est en 1916 que parurent à Cracovie Les Essais de Montaigne, et — fait remarquable — ils obtinrent un très grand succès: cette divine sagesse faisait du bien à des gens excédés par cette guerre, à laquelle on ne voyait alors aucune fin. Le Montaigne polonais fut beaucoup lu dans les tranchées.

D'un autre côté, il faut dire, que les livres que je publiais alors se trouvaient dans d'assez bonnes conditions de librairie. Rien ne paraissait presque, et comme le livre du dehors n'arrivait pas, le marché était presque vide. Alors le grand public prenait comme nouveauté — et vraiment c'en était une pour lui — du Diderot, du Voltaire, du Marivaux, de Mlle de Lespinasse, du Rousseau, du Gautier, du Balzac surtout. Et une fois cette littérature inoculée au public, elle y restât.

Donc, je publiai pendant toute la guerre en moyenne un volume de mes traductions par mois. Pour arriver à mon but qui était de faire vivre ces œuvres d'époques si éloignées et si différentes, il fallait se faire leur „conférencier”, il fallait les présenter au public, en les remplaçant dans leur milieu; bref, il fallait m'improviser un peu historien de la littérature. Le temps de guerre se prêtait à des métiers improvisés: ce qui me donna courage. Je me plongeai dans la

critique française que j'avais tant admirée dès ma jeunesse; je tâchai aussi de dégager mes impressions personnelles.

Car vraiment je puis le dire, il n'y a peut-être pas de rapports plus intimes que ceux qui se forment entre l'écrivain et son traducteur. C'est à son traducteur que l'auteur dévoile tout, jusqu'à ses faiblesses; c'est le traducteur qui peut le mieux distinguer le titre du métal précieux contenu dans chaque page. C'est lui qui, par son métier, entre dans le mécanisme le plus secret de la création, là où se cache peut-être le mystère du génie: dans le style, dans le verbe. Et cette intimité devient une source de voluptés infinies. Vraiment, je suppose que la décomposition chimique de la phrase d'un écrivain de génie produit un certain ozone que l'on aspire, dont on se grise, et dont l'aspiration devient une habitude, presque un vice, un gouffre où l'on s'engloutit. On se crée tout un sérail de styles, combien différents les uns des autres, combien amusants dans leur variété. La phrase savamment sèche de Mérimée auprès de la phrase congestionnée de génie de Balzac; la phrase sublime de dégoût et d'amour de Pascal, et la phrase éprise d'elle-même de Chateaubriand, et la phrase de Stendhal et de Musset et de tant d'autres... Chacune a son visage, son toucher, sa caresse berçante, piquante ou brutale. Je vous assure que c'est une débauche. Et, après ce travail d'analyse instinctive, le travail de reconstruction: le plaisir de couler le mystère de cette phrase dans le moule de notre propre langue. Une des choses les plus curieuses, ce sont les relations de deux langues différentes. Ainsi la langue polonaise et la langue française se rencontrent surtout deux fois: la première fois au XVI<sup>e</sup> siècle, la seconde fois à l'époque du Romantisme. Au XVI<sup>e</sup> siècle nous buvions tous aux sources du latin; ainsi Montaigne, reproduit en polonais, nous semble presque aussi familier — génie à part — que nos anciens écrivains de cette époque. Rien de plus spécial au contraire que votre langue du XVIII<sup>e</sup> siècle: cette langue parfois si alambiquée et si précise, si „cartésienne” même dans ses frivolités; il est plus facile de traduire tout Rabelais, que de bien rendre une seule page de Marivaux. Et puis, nous nous rencontrons de nouveau à l'époque du Romantisme: c'est le même souffle commun, la même phrase ailée et émue qui résonne chez vos grands poètes comme chez les nôtres.

Ainsi je m'improvisai critique littéraire. Les préfaces dont je faisais précéder chaque traduction formèrent les quelques volumes de mes Etudes sur la littérature française, y compris un livre sur Molière.

Le total de ces traductions embrasse jusqu'aujourd'hui trente et quelques auteurs français et atteindra bientôt une centaine de volumes. Sur cet aveu je crains de voir quelqu'un de vous faire la moue et dire: „Mais c'est dégoûtant, ce n'est pas un homme, mais une machine à traduire”. Ne le pensez pas, cela me ferait de la peine. Tout au contraire; je n'ai jamais fait une seule ligne par application, par assiduité. Toujours, pendant le travail, je sentais en moi comme le frémissent d'un rythme, comme qui dirait un chant; si je savais chanter, je vous chanterais ici la musique non seulement des Femmes savantes mais des Provinciales et de Candide...

La grande guerre finie, ayant ôté l'uniforme, j'abandonnai heureusement la médecine et je me donnai entièrement à la littérature. On me proposa... diverses choses: une chaire à l'université et le feuilleton de théâtre. Je choisis, bien entendu, le feuilleton de théâtre, d'abord à Cracovie, puis à Varsovie. Je l'acceptai en plaisantant, presque par gageure, car jamais auparavant je ne m'étais beaucoup intéressé aux choses du théâtre. Mon premier feuilleton tomba heureusement sur le Tartuffe de Molière. Et bientôt je m'aperçus, qu'après avoir pesé et analysé chaque phrase et chaque scène de Molière, de Marivaux, de Beaumarchais et de Musset, cela permettait tout de même d'avoir quelques idées sur le théâtre. Et puis je m'aperçus aussi que c'est là, plus qu'ailleurs, que je pouvais rendre service à la cause qui m'était chère. C'est par le théâtre que notre grand public connaissait principalement, parfois exclusivement, la France; c'est là aussi que se trouvait la source de beaucoup de malentendus. Songez seulement: un jour on jouait au théâtre Le Canard sauvage ou Les Revenants et l'autre jour La Dame de chez Maxim: et l'on en tirait la conclusion que les Scandinaves étaient de beaucoup plus profonds que les Français...

En parlant de l'attitude du grand public et même de celle des lettrés vis à vis du théâtre français, j'avais dit qu'il y avait là quelques préjugés à combattre. On pouvait étendre cette thèse sur l'attitude du grand public vis à vis de toute la littérature française. J'en ai mentionné la cause principale: le manque de la connaissance de la langue. En analyser les autres causes, cela nous mènerait trop loin, il faudrait toucher peut-être à des choses politiques. Nous étions

loin de vous, nous étions séparés de vous par un mur épais. Nous avons subi, par contrainte, des influences étrangères qui s'infiltraient par toutes les voies, par le voisinage, par l'école, par le livre, par les facilités mêmes qu'elles donnaient. Ces influences étaient très franchement contraires à l'esprit français, et elles répandirent beaucoup de préjugés d'autant plus dangereux qu'ils sont devenus inconscients. On était à la fin assez enclin à croire que morosité veut dire profondeur, que lourdeur veut dire méthode, et que manque d'esprit veut dire esprit sérieux.

Donc, peu à peu je devins une sorte d'éducateur, je devins moi-même presque un homme sérieux. Mais, croyez moi, ce n'était pas mon ambition. Plutôt je fuyais cette qualité désastreuse, je la „baïssais plus que peste”, comme dit le bon Brantôme, d'ailleurs d'autre chose. J'avais le sentiment que le secret de ma réussite, c'était surtout la confiance que le public avait en moi, c'était sa croyance que je ne l'ennuierais jamais. Il serait même injuste de passer sous silence mon auxiliaire non pas le moins puissant peut-être: ma mauvaise réputation. Le fait, qu'à mes débuts, on m'avait classé comme corrompu, m'a aidé prodigieusement. Je ne combattis pas ce mythe; plutôt je le conservai comme un précieux fétiche. Même, je l'avoue, une fois je l'utilisai sciemment. Persuadé que pour bien comprendre la ligne du développement de la littérature française il faut absolument connaître le petit livre *Le discours de la méthode de Descartes* et craignant de ne pas trouver pour ce livre assez de lecteurs bénévoles, je pourvus cet opuscule en polonais de cette bande alléchante: „Pour adultes seulement”, en expliquant loyalement dans ma préface qu'en effet ce livre est seulement pour les adultes, étant pour la jeunesse de beaucoup trop difficile et trop sérieux. Mais l'effet en fut immédiat. Les potaches, les fillettes, les vieux marcheurs, tous entraient avec un air innocent dans la librairie et emportaient dans leur manchon ou sous le manteau leur *Descartes*; puis ils couraient à la maison, verrouillaient leur porte et se plongeaient dans le livre, pour voir quelle était cette méthode mystérieuse qu'ils ne connaissaient pas encore. Grâce à cela, *Le discours de la méthode* obtint en peu d'années quatre éditions en polonais, succès qui dépassa assurément les rêves de ce philosophe.

Ai-je besoin d'ajouter que mon travail n'est pas fini? Peut-être il n'est que commencé. Mon père a vécu 84 ans; j'espère vivre au moins autant: le plaisir conserve. En ce moment je continue mon édition complète de la *Comédie humaine*, j'en suis à la moitié. Longtemps j'ai résisté à cette folle idée de traduire tout Balzac, mais je n'ai pas pu: il m'empoigna, et Balzac était le plus fort. Toutefois, dernièrement je lui ai fait une petite infidélité: il y a quelques mois j'ai publié *L'esprit des lois de Montesquieu*: c'est notre ministre de la justice lui-même qui a fait la correction des épreuves. C'est chic, n'est-ce pas?

Je reste tout confus après cet acte d'exhibition, pour lequel j'implore humblement votre indulgence. Il me tenait à cœur de vous persuader d'une chose: c'est que, si je me suis donné à la littérature française, je m'y suis donné non pas à la manière froide et méthodique d'un pion, mais comme il faut se donner à elle: avec amour, avec passion, avec joie. Et comment pourrait-il en être autrement? Comme vous avez pu le voir par cette confession, c'est à la France que je dois tant; c'est elle qui m'a élevé, éveillé, délivré, c'est elle qui a changé ma lamentable existence en un plaisir continu, c'est elle qui m'a fait écrivain et homme. Aussi, malgré tout ce que je pourrais faire pour lui témoigner ma reconnaissance, je resterai toujours son débiteur.

*Discours prononcé au banquet du Cercle littéraire présidé par M. Fortunat Strowski, professeur à la Sorbonne, membre de l'Institut, à Paris le 21 février 1927.*

Monsieur le Président, Mesdames, Messieurs.

Il me serait bien difficile d'exprimer tout ce que je ressens en ce moment. Je vous l'ai déjà dit avant-hier, m'étant trouvé sur l'estrade de l'amphithéâtre de la Sorbonne: cela me semblait plutôt un songe qu'une réalité. Or je continue de marcher dans le pays des songes. Je vois à cette table la littérature française. Jusqu'ici, la littérature française c'était en quelque façon pour moi un mythe: c'étaient des livres, des titres, des noms: combien m'apparaît-elle encore plus charmante, du moment qu'elle se change en hommes vivants, en chair et en os, et si accueillants, si simples, si pleins de bonté. Croyez-moi, cette soirée restera pour moi inoubliable, elle donnera, à mes yeux, à la littérature française une toute nouvelle face: lire les livres des hommes avec lesquels on a dîné, cela vous a encore une toute autre saveur!

Messieurs, je vous remercie de tout mon cœur de m'avoir accueilli si gracieusement parmi vous. Je suis amoureux de la France depuis toujours, de Paris depuis vingt-cinq ans: eh bien, j'ai parlé au public parisien, j'ai fait rire la Sorbonne, j'ai embrassé un ministre français, j'ai



dîné avec les gloires de la France et la fleur de Paris. Je peux mourir en paix. Mais pas ici, rassurez-vous, Messieurs.

*Discours prononcé au banquet des Compagnons des Professions intellectuelles, présidé par M. Jacques Bertal, à Paris le 21 Mars 1927.*

*Monsieur le Président, Mesdames, Messieurs!*

*Je remercie de tout mon cœur les Compagnons des Professions intellectuelles qui m'ont honoré de ce charmant dîner. C'est à peine que je peux exprimer, combien je suis profondément touché de cet accueil que j'ai trouvé à Paris, de ces manifestations de sympathies que j'y rencontre chaque jour. Seulement, il y a une chose. On me parle trop de mon travail et de mes mérites; cela me rend vraiment un peu honteux et confus: et puis, j'ai alors toujours l'impression qu'on parle de quelqu'un d'autre, pas de moi. Car, à la vérité, ma vie ne fut qu'une longue flânerie et qu'un plaisir continu. J'avais ces dispositions dès ma jeunesse. J'étais paresseux, je ne respectais pas grand-chose, j'aimais les femmes: j'avais beaucoup de chances de tourner mal. Et c'est à ce tournant dangereux de ma vie, que je fus envahi par l'amour de la littérature française; et bientôt, sans bien savoir comment cela arriva, je me donnai presque entièrement à elle; et cela fut peut-être parce qu'elle ne me demandait pas de renoncer à mes vices: elle les accepta avec un sourire indulgent. La littérature française fut pour moi la délicieuse Abbaye de Thélème, où je me plaisais à vivre, où je me promenais en tous sens, en y trouvant des charmes toujours nouveaux. Parcourir ses sentiers jolis, souvent mystérieux et pleins de terreur, ce fut une douce flânerie pour ma paresse; jouir de sa diversité et de ses détours imprévus, ah, combien cela amusait mon scepticisme puéril; que de volupté trouvai-je enfin dans les caresses de ses styles si multiples et dans le charme presque sensuel de cette langue unique. Et c'est ainsi que, tout en m'adonnant à mes douteux penchants, tout en restant le mauvais garçon que j'étais il y a vingt ans, je devins, peu à peu et sans le vouloir assurément, le personnage grave et vénérable qui est ici devant vous. Il n'y a que la littérature française qui soit capable de faire de tels miracles. Et le secret en est peut-être sa profonde humanité. Elle est indulgente, elle est intelligente, elle est pleine de compassion. Elle ne veut pas que l'on soit autre que l'on n'est. Et puis, elle est un peu femme; elle ne demande pas que l'on soit sans défauts; elle demande seulement qu'on l'aime. Ah, je l'ai aimée, je peux le dire; à ce point que ce serait peut-être indiscret d'en parler ici au dessert, de cet amour; je ne veux pas violer sa pudeur. Nous sommes à table; eh bien, je lève mon verre à la gloire de la littérature française, au rayonnement triomphal de la pensée française, et à la victoire finale de l'effort commun des Compagnons intellectuels que nous sommes tous, pour la fraternité des peuples.*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/w-sorbonie-i-gdzie-indziej>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Boy-Żeleński, *W Sorbonie i gdzie indziej (wrażenia paryskie)*, nakł. Księgarni F. Hoesicka, Warszawa 1927

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska.

ISBN 978-83-288-0104-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).